

Mark Twain

**WIZYTA
KAPITANA
STORMFIELDA
W NIEBIE**



Mark Twain

Wizyta kapitana Stormfielda w niebie



Fundacja Festina Lente

I

Gdy rozpoczął się trzydziesty rok od dnia mojej śmierci, zacząłem się trochę niepokoić. Zwróćcie uwagę, że cały ten czas leciałem w przestworzach niczym kometa. Kubek w kubek jak kometa! Tak, tak, Peters, całą kupę komet prześcignąłem w drodze. Co prawda żadna z nich nie odbywała podróży razem ze mną, gdyż podróżują one, jak wiadomo, po obwodzie elipsy, podobnej do pętli lassa, ja zaś leciałem cały czas prosto jak strzała. Ale od czasu do czasu spotykałem komety, które przez dwie albo trzy godziny leciały tą samą drogą co i ja; wówczas robiliśmy coś w rodzaju wyścigu. Ale wyścig ten był zwykle, że tak powiem, jednostronny, bo wymijałem je tak szybko, jak gdyby stały w miejscu. Zwykła kometa robi nie więcej niż dwieście tysięcy mil na minutę. Dlatego też, gdy trafiała mi się kometa tego gatunku — w rodzaju na przykład komety Enkego lub Halleya — spotkanie nasze trwało bardzo krótko; czas jego trwania wyrażał się zazwyczaj w bardzo małych ułamkach sekundy. Nie wiem nawet, doprawdy, czy można to nazwać wyścigiem. Kometa podczas takiego „wyścigu” wlokła się jak pociąg naładowany piaskiem, ja zaś mijałem ją z szybkością ekspresu północnego. Za to kiedy wydostałem się poza obręb naszego systemu słonecznego, miałem sposobność spotkać komety o innych właściwościach. U n a s takich komet nawet nie fabrykują; nasze w porównaniu z nimi... to zwykle partactwo. Raz w nocy walę sobie pełnym biegiem przy pomyślnym wietrze, robiąc dobry milion mil na minutę (może i więcej, ale na pewno nie mniej), aż nagle widzę o trzy rumby w prawo

jedną z owych niebiańskich podróźniczek niezwykle wielkich rozmiarów. Z położenia jej świateł na rufie wywnioskowałem, że kieruje się na północny wschód z odchyleniem pół rumba ku wschodowi. Kierunek ten był tak zbliżony do mojego kursu, że postanowiłem nie tracić okazji. Skróciłem ster o dwa rumby i popędziłem wprost na nią. Szkoda, żeście nie widzieli, jak leciałem i iloma iskrami elektrycznymi promieniowałem! Nie upłynęło półtorej minuty, gdy byłem już otoczony elektryczną mgłą, świecąca wokoło mnie na odległość mili i oświetlająca przestworza niczym światło dzienne. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tę kometa, błyszcząca w oddali niebieskawym światłem jak pochodnia pogrzebowa, w miarę zaś mego zbliżania stawała się coraz większa. Pędziłem ku niej tak szybko, że po przebyciu około stu pięćdziesięciu milionów mil znalazłem się tak blisko, iż wpadłem w jej fosforyzujący ślad; oślepiony jego blaskiem, nie widziałem nic. Uznając, że nie mam po co zagłębiać się weń dalej, skręciłem trochę ster i wziąłem kierunek równoległy z kursem komety. Wkrótce szybowałem już nad jej ogonem. Jechałem pełnym biegiem, ale mimo to na zewnątrz musiałem wydawać się pchłą pełzającą po kontynencie Ameryki. Przebyłem około stu pięćdziesięciu milionów mil, ale nie dostałem się jeszcze nawet do jej talii, jeżeli można się tak wyrazić o komecie.

Tak, tak, Peters, my tutaj na dole guzik wiemy o kometach. Jeżeli chcecie zobaczyć prawdziwe komety, musicie wynieść się z naszego systemu słonecznego tam, gdzie jest dość miejsca, żeby mogły sobie poigrać. Mówię ci, mój przyjacielu, widziałem komety niemogące równać się z żadną z n a s z y c h; choćby je nie wiem jak do siebie przykładać — zawsze będą się różniły ogonami.

Odwaliwszy nowe pół setki milionów mil, znalazłem się ponad plecami mojej podróźniczki. Czułem się świetnie, mogę

to powiedzieć z całą uczciwością, ale akurat w tej samej chwili zobaczyłem, jak oficer znajdujący się na pokładzie podszedł do burty i zaczął obserwować mnie przez teleskop. Niezwłocznie usłyszałem jego komendę:

— Hej, wy tam, w dole! Ruszać się, chłopcy! Dawajcie tutaj sto milionów miliardów ton siarki.

— Tak jest, sir!

— Zawołać wachtę z prawej burty! Wszyscy na górę!

— Tak jest, sir!

— Posłać na górę dwieście miliardów ludzi do lin i żagli!

— Tak jest, sir!

— Postawić całe ożaglowanie, jakie jest na burcie!

Nie upłynęła sekunda, gdy zacząłem zdawać sobie sprawę, że zwróciłem na siebie uwagę dość niemiłego osobnika. Mniej niż w ciągu dziesięciu sekund kometa zamieniła się w ognisty obłok purpurowo-czerwonych żagli. Czubki ich ginęły w wysokościach — zdawało się, że staruszka kometa nagle spuchła i zajęła sobą niemal całe przestworza. A ten dym siarczany wałący z kominów! O, nie ma na świecie pióra, któremu by się udało opisać, jak dym ten zwijał się w kłęby i unosił do nieba, a woni, jaką wydawał, ani w połowie nie można sobie wyobrazić. Niepodobna również opisać tego, z jaką wściekłością ruszył teraz naprzód ten potworny statek! A tysiące gwizdków bosmańskich, a wymyślania i przekleństwa załogi, równej zaludnieniu kuli ziemskiej, uwielokrotnionemu setki tysięcy razy! Przysięgam, że nie zdarzyło mi się słyszeć przedtem niczego, co dałoby się porównać z tym niebiańskim koncertem.

Pędziłem tuż obok komety, starając się rozwinąć jak największą prędkość, bo nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać komety, która by mnie wyprzedziła; ze względu na to powinienem był dać i tej dobrą nauczkę. W tym celu gotów

byłem nawet zaryzykować katastrofę. Miałem podstawę sądzić, że zdobyłem sobie w przestworzach jaką taką reputację i bynajmniej nie miałem zamiaru jej stracić. Zauważyłem, że wyprzedzam teraz kometę nie tak znacznie jak przedtem, ale jednak wyprzedzam. Na burcie komety widać było wielkie poruszenie. Z dołu wyskoczyło dobre sto miliardów pasażerów; cały ten nieprzeliczony tłum rzucił się do burty i zaczął robić między sobą zakłady o rezultat wyścigu. Dzięki temu obciążeniu burty kometa przechyliła się i straciła trochę na szybkości. Ale jej sternik był po prostu szaleńcem! Rzucił się na tłum, wymachując rękami i krzycząc na całe gardło:

— Marsz na dół! Na dół wy...* [Kapitan Stormfield nie pamięta, co to było za słowo; twierdzi, że to był jakiś wyraz obcy — przypis autora]! Żeby mi momentalnie wszyscy byli na dole, bo inaczej czaszki wam porozbijam, wszystkim! Od pierwszego do ostatniego!

A więc, Peters, ciągle wysuwałem się po trochu naprzód, aż wreszcie dostałem się na wysokość dziobu tego starego statku. W tym czasie wyszedł na pokład i kapitan komety; stał teraz obok sternika, w zarękawkach i kapciach, z potarganymi włosami i obwisłą jedną szelką. Ależ oni obaj żałośnie wyglądali! Doprawdy, nie mogłem się powstrzymać od zagrania im na nosie, huknąwszy przy tym na całe gardło:

— Do widzenia! Do widzenia! Może zawieźć od was jaką wiadomość żonie i dzieciom?

Peters, to był błąd z mojej strony. Tak, później nieraz żałowałem tego powiedzenia — było ono naprawdę błędem. W tym sęk, że kapitan całkiem już był zrezygnował z wyprzedzenia mnie, ale moja ostatnia uwaga wydała mu się nazbyt obraźliwa. Takiego ciosu nie mógł znieść. Odwrócił się do sternika i powiedział:

— Czy wystarczy nam siarki na tę sztuczkę?

— Tak jest, sir!

- Na pewno?
- Tak jest, sir, mamy jej więcej, niż potrzeba.
- A ile ładunku zabraliśmy do przekazania szatanowi?
- Milion osiemset tysięcy kwantymilionów

„kazarków”.

— Doskonale. Niech ich mieszkańcy pomarzną do przyścia następnej komety. Odciażyć statek! Prędeż, prędeż się ruszać, chłopcy! Cały ładunek za burtę!

Patrz mi prosto w oczy, Peters i staraj się zachować spokój. Przekonałem się, że „kazark” jest niczym innym niż tylko planetą o pojemności 169 kul ziemskich! Otóż całą tę ogromną masę wyrzucili za burtę. Padając, pociągnęła za sobą znaczną ilość gwiazd; znikły, jak gdyby zgaszone czymś gigantycznym dmuchnięciem. Co zaś do wyścigu — ten skończył się w jednej chwili. Kometa zaledwie pozbyła się ładunku, ruszyła naprzód i w ciągu sekundy wyprzedziła mnie tak, jakbym stał na kotwicy. Kapitan przeszedł na rufę, na luk, zagrał mi na nosie i krzyknął:

— Do widzenia! Do widzenia! Może i od ciebie przesłać coś przyjacielom twojej babci?

Potem podciągnął sobie szelkę i po upływie trzech kwadransów jego statek zamienił się w blade, połyskujące pasmo na horyzoncie. Tak, to był błąd z mojej strony, Peters, że wypowiedziałem taką uwagę. Nie sędzę, żebym kiedyś miał przestać tego żałować. Gdybym umiał utrzymać język za zębami, wziąłbym górę nad tym niebiańskim natrętem. Ale widzę, że odbiegłem od wątku opowiadania; zaraz wezmę z powrotem właściwy kurs. Teraz już mogliście się przekonać, jaką ja tam rozwijałem szybkość. A więc, jak już wam mówiłem, w trzydziestym roku mojej podróży zacząłem czuć się trochę głupio. Tak, tak, podróż sama przez się była przyjemna, ale trzydzieści lat zupełnej samotności... wyobraź no sobie, Peters. Oprócz tego chciałem wreszcie dokądś

dotrzeć. Ruszyłem w drogę, wcale się nie spodziewając, że będzie to trwało całą wieczność. Z początku podobało mi się, że podróż się przeciąga, bo miałem pewne podstawy sądzić, iż wyląduję w dość ciepłej okolicy, ale z czasem zacząłem uważać, że lepiej już wylądować gdziekolwiek, byleby skończyć z tą niepewnością.

Tak więc pewnej nocy (zresztą teraz cały czas była noc, z wyjątkiem tych momentów, kiedy mijałem jakąś gwiazdę, oświetlającą swymi promieniami całą przestrzeń, ale trwało to sekundy, a najwyżej dwie, gdyż natychmiast zostawiałem je za sobą i znów na dobry tydzień pogrążałem się w ciemności) ... Gwiazdy wiszą w przestworzach wcale nie tak blisko siebie, jak nam się to wydaje... Ale o czym to ja zacząłem mówić? Aha! A więc pewnego razu w nocy zobaczyłem na wprost dzioba na horyzoncie niezmiernie długi szereg drgających świateł. W miarę jak się zbliżałem, zaczynały się one zwiększać i stawały się coraz bardziej podobne do pieców o gigantycznych rozmiarach. Natychmiast pomyślałem sobie:

Na świętego Jerzego! Nareszcie przybyłem i to na pewno nie tam, gdzie należy. Wiedziałem, że tak będzie!

Wówczas zemdlałem. Nie wiem, doprawdy, jak długo pozostawałem w omdleniu; widocznie długo, bo gdy się ocknąłem, wokoło zamiast ciemności ujrzałem wspaniałe światło słoneczne i odczułem miły, świeży wiaterek. I jaka cudowna miejscowość rozpościerała się wokół mnie — było to coś połyskującego, cudownego, zachwycającego! Ja się okazało, to co brałem za piece były to bramy milowej wysokości, zbudowane z połyskujących klejnotów i znajdujące się w murze z kutego złota. Szczyt tego muru, jak również jego końce, ginęły w niezmiernym oceanie przestworzy. Leciałem prościutko na jedną z tych bram, spiesząc się jak przy pożarze. Wtedy zauważyłem, że niebo

czerniało od milionów ludzi zdążających do tej bramy. Co za hałas robili, unosząc się w powietrzu! Łąd również był szczelnie pokryty tłumem ludzi. Były ich tam chyba całe miliardy.

Podleciałem do bramy razem z całą chmarą ludzi. Kiedy przyszła kolej na mnie, starszy urzędnik mruknął tonem urzędowym:

- No, prędzej, prędzej! Pan skąd?
- Z San Francisco — odpowiedziałem.
- Jak?... San Fran...? — zapytał.
- San Francisco.

Podrapał się w głowę, widocznie nie rozumiejąc, i powiedział:

- Czy to planeta, czy co?

Na świętego Jerzego! Powiedział tak, Peters.

— Planeta? — powtórzyłem. — Miasto, nie planeta. I to jedno z najpiękniejszych, największych i...

— Tere-fere! — przerwał mi. — Nie ma czasu na rozmowy. Nam tu nie miasta są potrzebne. Skąd pan jest w ogóle, że tak powiem?

— O, przepraszam — powiedziałem. — Proszę mnie uważać za pochodzącego z Kalifornii.

Znów mu zabiłem ćwieka, Peters! Namyślał się chwilę, a potem stwierdził, wyraźnie zagniewany:

- Nie znam takiej planety. Może to konstelacja?
- Wielki Boże! — zawołałem. — Konstelacja?

Wcale nie. To stan.

— Nic nas tu nie obchodzą stany. Niech mi pan powie wreszcie, skąd pan jest w ogóle?

— O, teraz zrozumiałem, o co panu chodzi — powiedziałem. — Pochodzę z Ameryki, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Wiesz, Peters, znów mu zabiłem ćwieka! Niech mnie diabli porwą, jeżeli mu nie zabiłem! Twarz jego przybrała taki wyraz, jak twarz manekina, do którego strzelają rekruci.

Zwrócił się do młodszego urzędnika i zapytał:

— Gdzie jest Ameryka? Co to jest Ameryka?

Młody urzędnik natychmiast odpowiedział:

— Taka gwiazda nie istnieje.

— Gwiazda? — powiedziałem przeciągłym tonem. — Co pan gada, młodzieńcze? To wcale nie gwiazda, to kraj, to kontynent. Odkrył go Krzysztof Kolumb. Spodziewam się, że panowie o nim słyszeli? Ameryka, drogi panie, Ameryka, przecież to...

— Stop! — powiedział starszy urzędnik. — Pytam po raz ostatni: skąd się pan wziął?

— Doprawdy, nie wiem, co mam więcej powiedzieć, chyba to, że przybyłem tu ze świata.

— A — pochwycił rozradowany — nareszcie słyszymy od pana coś, co ma sens! Z j a k i e g o świata pan przybył?

Tym razem, Peters, udało mu się wprawić mnie w zakłopotanie. Patrzyłem na niego jak głupi, ale w jego oczach widziałem, że mu się śmiertelnie naprzykrzyłem. Po chwili milczenia zapytał:

— No więc, z jakiego świata pan przybył?

— Tak, ze świata, powtarzam panu.

— Ze świata! — powtórzył. — Hm! Mamy tu miliardy tych światów!... Następny!

Ostatnie słowo znaczyło, że mam stanąć z boku. Wypełniłem to polecenie, zaś na moje miejsce skoczył jasnieniebski stwór z siedmioma głowami i jedną nogą. Wówczas spostrzegłem, że miliardy ludzi, których widziałem lecących do tej samej bramy, wszyscy co do jednego są istotami podobnymi jak dwie krople wody do opisanego przed chwilą stworzenia. Zacząłem szukać między nimi znajomych,

ale ich nie znalazłem. Przemyślałem całą historię od nowa i, koniec końców, wyszedłem z powrotem, czując się dość głupio.

— No i co? — zapytał starszy urzędnik.

— Widzi pan — zacząłem tonem pełnym uszanowania — w żaden sposób nie mogę się domyślić, co to za świat, z którego tu przybyłem. Być może rozpozna go pan po tym, że jest to ten świat, który został zbawiony przez Zbawiciela.

Usłyszawszy to imię, skłonił głowę, po czym powiedział miękko:

— Liczna światów zbawionych przez Niego równa jest liczbie bram niebieskich. Nie ma człowieka, który by je przeliczył. Do jakiego systemu astronomicznego należy pański świat? Ta wskazówka mogłaby się nam przydać.

— Do tego systemu należy Słońce... i Księżyc... i Mars — przy każdej nazwie kręcił głową; nigdy o nich nawet nie słyszał — i Neptun... i Uran, Jowisz...

— Stop — powiedział. — Niech no pan chwilę poczeka. Jowisz... Jowisz... Pamiętam, że osiemset czy dziewięćset lat temu przybył do nas stamtąd jeden człeczyna... Ale ludność tego systemu bardzo rzadko dostaje się do tej bramy. — Tu nagle zaczął patrzeć mi prosto w oczy tak badawczo, że przez chwilę poważnie się bałem, żeby ich nie przedziurawił wzrokiem. Potem zapytał mnie spokojnie:

— Czy pan tu przybył wprost z pańskiego systemu?

— Tak, sir — powiedziałem, ale trochę, troszeczkę zaczerwieniłem się, kiedy wymawiałem te słowa.

Popatrzył na mnie surowo i powiedział:

— To nieprawda. Tu nie miejsce na krętactwo. Pan odchylił się od swego kursu. Jak się to stało?

Znów się zaczerwieniłem i powiedziałem:

— Bardzo mi przykro. Niech mi pan pozwoli cofnąć moje słowa. Przyznam się do wszystkiego. Raz pozwoliłem

sobie na wyścig z pewną kometą... Zupełne głupstwo, mogę zapewnić...

— Tak, tak — zauważył bynajmniej nie słodkim głosem.

Ciągnąłem:

— Ale odchyliłem się od mego kursu o jakiś rumb, półtora i natychmiast wziąłem dawny kierunek, skoro tylko wyścig się skończył.

— To nie ma znaczenia. Przyczyną całego zamieszania jest właśnie to odchylenie. Ono sprowadziło pana do bramy, odległej od tej, która panu jest potrzebna, o miliardy mil. Gdyby pan trafił wprost do swojej bramy, tam zaraz by określili pański świat i nie byłoby żadnej zwłoki. Ale spróbujemy to naprawić. — Zwrócił się do młodszego urzędnika z pytaniem. — Do jakiego systemu należy Jowisz?

— Nie przypominam sobie dokładnie, sir, ale zdaje mi się, że jest taka planeta w jednym z niewielkich systemów późniejszej formacji, znajdującym się w bardziej pustej części wszechświata. Zresztą zbadam to.

Zaopatrzył się w balon i zaczął powoli wznosić się na nim w górę nad mapą wielkości Rhode Island, aż znikł mi z oczu. Potem od czasu do czasu zniżał się, brał coś do jedzenia i znów wzbijał się w górę. Żeby się nad tym nie rozwodzić, powiem krótko, że na tym zajęciu upłynęło dobre dwa dni. W końcu opuścił się i oświadczył, iż zdaje mu się, że znalazł ten system słoneczny. Możliwe zresztą, że to tylko ślady pozostawione na mapie przez muchy. Zabrał ze sobą mikroskop i znowu wznosił się w przestworza. Jego obawy okazały się nieuzasadnione. Był to właśnie nasz system słoneczny. Poprosił mnie, żebym mu opisał naszą planetę i podał jej odległość od Słońca, po czym oświadczył swemu zwierzchnikowi:

— O, teraz już wiem, o czym on mówi, sir. Jest oznaczona na mapie! U nas nazywa się „Brodawka”.

Pomyślałem sobie: „Młodzieńcze, nie byłoby pana bezpiecznie opuścić się na nią i nazwać ją głośno takim zaszczytnym przezwiskiem”.

Skończywszy ze sprawą mego pochodzenia, przepuścili mnie przez bramę, komunikując mi, że odtąd mogę być zupełnie spokojny — żadne dalsze nieprzyjemności mnie nie spotkają.

Potem odwrócili się ode mnie i zabrali się do swojej roboty, uważając widocznie, że co do mnie, wszystko zostało już wyjaśnione.

Byłem tym dość zdziwiony, ale nie zdecydowałem się powiedzieć im o tym. Bo, widzisz, bardzo nie chciało mi się tego robić; po prostu żał mi było im przeszkadzać — mieli takie mnóstwo roboty. Dwa razy zdecydowałem się już machnąć ręką i zostawić wszystko tak jak jest; dwa razy zamierzałem ruszyć w drogę i za każdym razem myśl o tym, jak będę wyglądał, pokazując się publicznie w mych łańchmanach, powstrzymywała mnie. Urzędnicy zaczęli już wytrzeszczać na mnie oczy, dziwiąc się, że stoję, jak gdybym przyrósł do miejsca. Nie mogłem dłużej znieść tej sytuacji — była już nazbyt niezręczna. A więc zebrałem się na odwagę i dotknąłem rękawem starszego urzędnika.

— He? — zapytał. — Pan jeszcze tutaj? Czego pan sobie życzy?

Złożyłem ręce w trąbkę, przyłożyłem je do jego ucha i powiedziałem półgłosem:

— Proszę mi wybaczyć i nie uważać mnie za natręta, ale czy pan o czymś nie zapomniał?

Pomyślał chwilę.

— Czy czego nie zapomniałem? Nie, nie sędzę.

— Niech no pan pomyśli — poradziłem mu.

Zamyślił się i po namyśle odrzekł:

— Nie, zdaje mi się, że o niczym nie zapomniałem. A co takiego?...

— Niech pan popatrzy na mnie — poprosiłem. — Niech mnie pan obejrzy od stóp do głów.

Spełnił moją prośbę.

— No i? — zapytał.

— No i — powtórzyłem — pan zupełnie nic nie dostrzega? Gdybym się był w takim stanie pokazał wśród wybranych, czy sądzi pan, że nie zwróciłbym na siebie powszechnej uwagi? Czy nie wyglądałbym podejrzanie?

— Nie widzę podstawy do takich przypuszczeń — odparł. — Czego panu brak?

— Czego mi brak?! Ależ ja przecież nie mam ani harfy, ani aureoli wokół głowy, ani wieńca na niej, ani brewiarza, ani gałązki palmowej, słowem niczego, co jest konieczne dla grzesznego ciała.

Po raz pierwszy, Peters, widziałem go tak zakłopotanego. Po chwili powiedział:

— Ależ pan chyba przybył tu z muzeum. Nigdy nie słyszałem, żeby na świecie istniały wyliczone przez pana przedmioty.

Przypatrywałem mu się jakiś czas całkiem osłupiały, a potem przemówiłem do niego w te słowa:

— Proszę mi nie brać tego za złe, ale uczciwie mówiąc, nie spodziewałem się, żeby pan był tak mało obznajmiony ze zwyczajami królestwa niebieskiego.

— Z jego zwyczajami... — powtórzył. — Niebo to rozległa miejscowość, przyjacielu. Wielkie państwa posiadają mnóstwo obyczajów. Odznaczają się tym nawet małe terytoria, o czym mógł się pan sam przekonać w czasie swego pobytu na „Brodawce”. Skądże pan sobie ubrdał, że można w ogóle nauczyć się całej masy zwyczajów przyjętych w

różnych niezliczonych królestwach niebios? Głowa mnie zaczyna boleć, kiedy pomyślę o ich liczbie. Znam najważniejsze zwyczaje tych części nieba, które zamieszkałe są przez ludzi, którzy dostali się tu przez moją bramę. Niech pan będzie świadomy, że jednostka potrzebuje na zdobycie tej wiedzy trzydzieści siedem milionów lat. Poświęcałem jej dni i noce. Ale myśleć o opanowaniu zwyczajów całego bezkresu niebios... co też pan za głupstwa plecicie! Teraz nie mam wątpliwości, że dziwaczny strój, opisany przez pana, jest obrazem mody tego rejonu królestwa niebieskiego, do którego przeznaczone są istoty z „Brodawki”. W naszej sekcji może pan jednak śmiało zlekceważyć te zwyczaje.

Zdecydowałem, że jeśli tak, to tym lepiej, powiedziałem mu dobranoc i poszedłem sobie. Cały dzień szedłem w kierunku przeciwnego krańca ogromnego biura przyjęć, w każdej sekundzie marszu żywiąc nadzieję, że zaraz znajdę się we właściwym niebie, ale okazało się, że bardzo się myliłem. To biuro przyjęć zbudowane było w zwykłej skali niebiańskiej, dlatego też nie mogło być małe. W końcu tak się zmęczyłem, że nie mogłem iść dalej; usiadłem, żeby odpocząć i zacząłem zagadywać nieznajomych, prezentujących się jak najdziwniej przechodniów, prosząc ich o udzielenie mi jakichkolwiek informacji. Nie otrzymałem ich jednak. Nie rozumieli mego języka, a i ja zupełnie ich nie rozumiałem. Poczuję się strasznie samotny. Byłem tak przygnębiony, ogarnęła mnie taka tęsknota za domem, że sto razy żałowałem śmierci. Rozumie się samo przez się, że zawróciłem. Około południa następnego dnia przyszedłem znowu do biura rejestracyjnego. Tam zwróciłem się ponownie do starszego urzędnika:

— Zaczynam rozumieć, że aby człowiek był szczęśliwy, musi koniecznie dostać się do tego nieba, które jest dlań przeznaczone.

— Zupełnie słusznie. Czy pan wyobrażał sobie, że jedno i to samo niebo jest odpowiednie dla wszystkich rodzajów ludzi?

— Tak, miałem takie wrażenie, ale rozumiem teraz całą swoją lekkomyślność. Którędy mogę się dostać do mego rejonu?

Starszy urzędnik zawołał młodszego — tego samego, który szukał na mapie „Brodawki” — i ten ostatni udzielił mi ogólnych wskazówek. Podziękowałem mu i już zdecydowanie ruszyłem w drogę, lecz on zatrzymał mnie tymi słowami:

— Niech pan chwilę zaczeka, ten rejon jest odległy o kilka milionów mil. Niech pan wyjdzie stąd i stanie na tym czerwonym dywaniku. Niech pan przymknie oczy, wstrzyma oddech i życzy sobie w duchu znaleźć się tam.

— Jestem panu mocno zobowiązany, ale dlaczego od razu mnie pan o tym nie uprzedził?

— Mamy masę spraw bieżących, o które musimy się troszczyć, do pana należało pomyśleć o tym i zapytać. Żegnam pana, według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zobaczymy go w tym rejonie przed upływem tysiąca stuleci.

— W takim razie au revoir — zakończyłem.

Wskoczyłem na dywanik, zamknąłem oczy, wstrzymałem oddech i wyraziłem w duchu życzenie znalezienia się w biurze rejestracyjnym mojej sekcji. Nie upłynęła sekunda, a usłyszałem znajomy głos, wołający tonem urzędowym:

— Harfę, brewiarz, parę skrzydeł i aureolę rozmiar trzynasty dla kapitana Eliasza Stormfielda z San Francisco! Wydać mu świadectwo zdrowia i wpuścić.

Otworzyłem oczy. Rzeczywiście — był to pewien inżynier, bardzo morowy chłopak; doskonale pamiętałem jego pogrzeb, który polegał na tym, że trupa spalono, a Indianie wysmarowali sobie twarz popiołem i wyli dobre dwie godziny

jak dzikie koty. Bardzo się ucieszył, że mnie spotkał, ja naturalnie również rad go ujrzałem i poczułem dopiero, że dostałem się wreszcie tam, gdzie należy.

Cała przestrzeń dokoła jak okiem sięgnąć była wypełniona tłumem urzędników biegających i krzających się po biurze, przebierających tysiące Jankesów i Meksykanów, Anglików i Arabów w nowe stroje. Gdy i mnie wręczono moją paczkę i gdy przyczepiłem sobie aureolę, poczułem się tak szczęśliwy, że gotów byłem wskoczyć na dach z radości. „No, teraz już wszystko załatwione jak należy! — triumfowałem. — Teraz wszystko doskonale, dajcie no tylko obłok.” Nie minął kwadrans, a przeszedłem już dobra milę w kierunku grupy obłoków w towarzystwie milionów ludzi. Większość z nich próbowała latać, ale bezskutecznie, dlatego też postanowiliśmy na razie iść piechotą, a później dopiero, po nabraniu wprawy, spróbować fruwania.

Spotykaliśmy po drodze tłumy ludzi idących z powrotem. Niektórzy z nich mieli z całego ekwipunku tylko harfy, inni — tylko brewiarze, jeszcze inni — nic zgoła. Wszyscy wyglądali na niezadowolonych; pewien młody chłopak zostawił sobie tylko aureolę, którą niósł w ręku. Nagle wyciągnął ją do mnie ze słowami :

— Może mi pan ją przez chwilę potrzyma?

I natychmiast znikł w tłumie. Poszedłem dalej. Jakaś kobieta poprosiła mnie, żebym jej potrzymał gałązkę palmową, i zaraz zniknęła. Pewna dziewczyna oddała mi swą harfę i — święty Jerzy mi świadkiem — także natychmiast zniknęła. I tak dalej, i dalej, póki nie zostałem obwieszony od stóp do głów utensyliami w rodzaju wyżej wymienionych. Podszedł jeszcze do mnie jakiś uśmiechnięty starowina i poprosił, żeby mu potrzymać jego rzeczy. Otarłem pot i powiedziałem dosyć uprzejmym tonem:

— Niech mi pan łaskawie wybaczy, ale jak pan sądzi — jestem człowiekiem czy wieszadłem?

W tym mniej więcej czasie zaczęły pojawiać się przy drodze rowy. Niewiele myśląc, rzuciłem w nie mój dodatkowy ładunek. Obejrzawszy się za siebie, ujrzałem, że cały tłum, z którym szedłem, był obładowany tak samiuteńko jak ja. Widocznie i moim towarzyszom wracający oddali swoje rzeczy do „potrzymania”. Teraz wszyscy natychmiast pozbyli się swego ładunku, po czym poszliśmy dole.

Kiedy wraz z innymi usiadłem na obłoku, poczułem się tak szczęśliwym człowiekiem, za jakiego nigdy wcześniej się nie uważałem|. „Teraz – mówiłem do siebie – teraz wszystko się spełniło, tak jak to opisywano na Ziemi; miałem pewne wątpliwości, ale teraz jestem już pewny, że dostałem się do nieba”. Machnąłem ze dwa razy moją gałązką palmową, naciągnąłem struny harfy i zacząłem grać. Oj, Peters, na pewno nie zdołasz sobie wyobrazić tego koncertu. Wyglądało to wspaniale i wstrząsająco – śmiem twierdzić. Ale i kakofonia też była porządna, bo brzmiało tu naraz kilka milionów strun, co rzecz prosta, psuło harmonię. Prócz tego pośród zasiadających na obłokach była cała kupa Indian wydających swe okrzyki wojenne tak gorliwie, że niekiedy zagłuszało to całą wielomilionową orkiestrę. Od czasu do czasu przestawałem grać, żeby trochę odpocząć. Obok mnie siedział dość sympatyczny staruszek, który, jak zauważyłem, ani razu nie dotknął strun; chciałem go zachęcić do tego, ale powiedział, że z natury jest nieśmiały i dlatego boi się grać wobec tak licznej publiczności. Dodał jeszcze, i powtórzył to kilka razy, że nie wie dlaczego, ale jakoś nie bardzo lubi muzykę. Szczerze mówiąc, i ja zaczynałem to odczuwać, ale nic nie powiedziałem. Zapadło później między nami dość milczenie, przez nikogo naturalnie niezauważone pośród panującego zgiełku i hałasu. Po upływie jakichś szesnastu,

siedemnastu godzin, w ciągu których od czasu do czasu grałem i śpiewałem wciąż jedną i tę samą melodię (innych nie znałem), odłożyłem harfę na bok i zacząłem wachlować się gałązką palmową. Potem zaczęliśmy wraz z sąsiadem regularnie ziewać. W końcu sąsiad zapytał mnie:

— Czy naprawdę nie zna pan innych motywów prócz tego, który wygrywał pan przez cały dzień?

— Ani jednego — odpowiedziałem otwarcie.

— A jak pan sądzi, czy mógłby pan nauczyć się czegoś innego? — zapytał.

— Nie ma mowy. Próbowałem już nieraz, ale nie udało mi się.

— To znaczy, że dość długo będzie pan musiał mordować ten kawałek, całą wieczność, że tak powiem.

— Och, daj pan spokój! — westchnąłem. — Na samą myśl o tym dusza mi w pięty ucieka.

Nowa pauza i nowe pytanie.

— Cieszy się pan z tego, że pan tu siedzi?

— Staruszkę — brzmiała moja odpowiedź — będę z panem szczery. Ten sposób spędzania czasu wcale nie jest podobny do pojęcia szczęśliwości, które sobie wyrobiłem, chodząc do kościoła.

— A co pan powie na to, żeby po prostu iść stąd?

— Oto moja dłoń. Nawet na wachcie i to w najbardziej psią noc nie czułem nigdy takiej nudy jak teraz.

No i poszliśmy. Do obłoków tymczasem szły coraz to nowe miliony ludzi, szczęśliwe i śpiewające „hosanna”; miliony innych w tym samym czasie odchodziły stamtąd; ci mieli wygląd bardzo obojętny, łagodnie określając. Poszliśmy na spotkanie nowo przybywających; wkrótce oddałem „do utrzymania na chwilę” cały mój ekwipunek i nareszcie znowu byłem swobodny i cieszyłem się z tego jak dziecko.

Wtedy spotkałem starego Sama Bartlaita, który już dawno umarł... Zatrzymałem się, żeby zamienić z nim parę słów.

— Powiedźże mi, na Boga, czy to tak już będzie zawsze, na wieki wieków? Czy nie można się spodziewać żadnej zmiany?

— Uspokój się, stary — powiedział Sam. — W jednej chwili wyjaśnię ci stan rzeczy. Ludzie tłumaczą sobie dosłownie obrazowy język Biblii, dlatego też, gdy się tu dostaną, proszą przede wszystkim o zaopatrzenie ich w aureolę, harfę i inne rekwizyty raju. A tutaj ani jedna nieszkodliwa i rozsądna prośba, wypowiedziana w odpowiedni sposób, nie spotyka się z odmową. Dlatego wszelkie rekwizyty są wydawane niezwłocznie i bez sprzeciwu. I oto ludzie idą, by zasiać w obłokach, i śpiewają, i grają, ale nigdy dłużej niż dobę — to najdłuższy termin ich uczestnictwa w chórze. Nie ma potrzeby mówić im, że zajęcie tego rodzaju (i podobne) nie stworzy im raju — a jeżeli nawet stworzy, to będzie to raj tak szczególny, że żaden rozsądny człowiek nie wytrzyma w nim tygodnia nawet, żeby nie dostać bzika. Ta ława obłoków jest położona tak, że dawane na niej koncerty nie mogą przeszkadzać funkcjonariuszom raju, stąd też nikt nie uważa za złe, że nowo przybyłym wolno leczyć się ze swych błędów własnym doświadczeniem.

Teraz proszę, zapamiętaj sobie, że raj to miejsce w najwyższym stopniu szczęśliwe i piękne, ale pracować tu trzeba więcej niż gdziekolwiek indziej. Leniuchów tu nie znajdziesz, z wyjątkiem nowicjuszków, a i ci przestają być nimi po upływie dnia od chwili przybycia. Śpiewanie hymnów i machanie gałązkami przez całą wieczność to rzecz pociągająca, kiedy się siedzi na ławie szkolnej — w istocie ten sposób zabijania czasu nie ma sobie równych pod względem męczącej nudy. Hymny, aureola, dźwięki harf — to raj

niedołęgów. „Wieczne odpoczywanie” — to nieźle brzmi w kościele, ale poznajcie je w rzeczywistości, a przekonacie się, jakie to słodkie. Jak Boga kocham, Stormfield, człowiek, który tak jak ty nie miał przez całe życie ani chwili spokoju, dostawszy się do raju, gdzie nikt nie ma nic do roboty, przed upływem sześciu miesięcy zostałby kandydatem do domu wariatów. W niebie w najmniejszym stopniu nie można myśleć o odpoczynku, ale, na Boga, nie kłopotuj się o to!

— Sam — odpowiedziałem mu — cieszę się z tego co słyszę, tak bardzo, jak martwiłbym się, gdybym tego nie słyszał. Teraz jestem zadowolony, że się tu dostałem.

— No i cóż, kapitanie, zmęczyłeś się dzisiaj, jak sądzę?

— Sam, nie znajduję słów na określenie mego znużenia! Możesz uważać, że zmachałem się jak pies. Jeżeli jest w tym przesada, to niewielka, słowo honoru!

— Całkiem słusznie, całkiem słusznie. Zasłużyłeś na nagrodę i otrzymasz ją. Masz teraz dobry apetyt i będziesz zadowolony z obiadu. Tu panuje taki sam porządek jak na Ziemi: przed doznaniem przyjemności trzeba na nią zasłużyć. Nie można najpierw mieć przyjemności, a potem na nią zarobić. Zresztą jest pewna różnica w porównaniu z ziemią; tu masz całkowitą swobodę wyboru zajęcia według upodobania i wszystkie siły niebieskie będą ci pomagać w osiągnięciu celu. W tym, rzecz prosta, wypadku, jeżeli i ty sam będziesz się starać. Człowiek, który na ziemi był szewcem, ale który posiada duszę poety, gdy trafi tutaj, nie będzie już zmuszony robić butów.

— Wszystko to jest w zupełności rozumne i słuszne — przerwałem. — Suma pracy i odpowiednia do niej nagroda: ani bólu, ani cierpienia.

— O, nie, bólu jest tutaj, ile kto chce, ale ten ból nie zabija. Cierpienia jest również dosyć, ale nie jest ono długotrwałe. Szczęście, widzisz, nie jest czymś samoistnym.

To tylko kontrast dla tego, co nie jest przyjemne. Oto i wszystko. Wymień mi jakąkolwiek rzecz, którą uważasz za szczęście samo w sobie. Chyba nie wymienisz! Naturalnie, że nie, bo każde szczęście istnieje tylko jako kontrast nieszczęścia. Dlatego też, gdy tylko zaniknąć zaciekawienie nowością i siła kontrastu się zmniejsza, zanika też szczęście, a człowiek pożąda czegoś nowego. W niebie jest wiele cierpień i bólu, to znaczy, że jest w nim moc kontrastów, a co za tym idzie — cała nieskończoność szczęścia.

— O, ten raj, Samie, jest czymś najlepszym, co tylko można sobie wyobrazić, chociaż różni się od tego, który spodziewałem się znaleźć, o tyle, o ile żywa księżniczka różni się od swojej woskowej podobizny.

W ciągu pierwszych miesięcy mego pobytu w rajku wtoczyłem się po królestwie niebieskim, zwiedzając kraj i nawiązując znajomości. Przybywszy do pewnej bardzo ładnej miejscowości przerwałem swą podróż, by trochę odpocząć, nim ruszę dalej. W dalszym ciągu nawiązywałem znajomości z tubylcami i w rozmowach z nimi uzupełniałem swe wiadomości o kraju. Prowadziłem kilka dłuższych rozmów z pewnym starym, łysym aniołem, Sandym McWilliamsem, pochodzącym z jakiegoś miasteczka w stanie New Jersey. Często przechadzałem się z nim. W ciepłe dni leżeliśmy zwykle na łące niedaleko od jego fermy, w cieniu skał; paliliśmy fajki i rozmawialiśmy na najrozmaitsze tematy. Pewnego razu zapytałem go:

— Ile w przybliżeniu masz lat, Sandy?

— Siedemdziesiąt dwa.

— Tak też myślałem. A dawno dostałeś się do rajku?

— Na Boże Narodzenie stuknie akurat dwadzieścia siedem lat.

— A więc ile miałeś lat w chwili przybycia tutaj?

— Oczywiście siedemdziesiąt dwa.

— Ależ to brednie!

— Dlaczego brednie?

— Dlatego, że jeżeli wtedy miałeś siedemdziesiąt dwa lata, to teraz masz dziewięćdziesiąt dziewięć.

— Nic podobnego. Mam teraz tyle samo, ile miałem w chwili wniebowstąpienia.

— Dobrze — powiedziałem. — Zastanówmy się nad tym wspólnie. Tkwi w tym coś, o co chciałbym cię zapytać. Tam w dole zawsze myślałem, że w niebie każdy okaże się młody, piękny i świeży.

— No tak, no tak. To znaczy, że możesz stać się młody, jeżeli zechcesz. Wystarczy tylko zapragnąć.

— Więc dlaczego nie zapragnąłeś?

— A kto ci tak powiedział? I ja tego spróbowałem. Na to wszyscy dają się skusić. Ty także pewnego pięknego poranka zechcesz spróbować, ale wkrótce sprzykrzy ci się ta metamorfoza.

— Ale dlaczego?

— Zaraz ci wytłumaczę. Jesteś przecież marynarzem? Czy próbowałeś kiedyś zmienić zawód?

— Tak, próbowałem ongiś zająć się drobnym handlem, ale nie mogłem znieść tego zajęcia. Nazbyt już było nudne: żadnego ruchu, walki, burz. Wszystko sprowadzało się do tego, że człowiek czuł się ni to żywy, ni umarły. Wolę swój pierwszy zawód i dlatego czym prędzej zamknąłem sklepik i wypłynąłem na morze.

— Otóż to. Handlowcom to zajęcie odpowiada, tobie zaś nie. Otóż i ja odzwyczaiałem się od swej młodości i, że tak powiem, nie mogłem zainteresować się nią na nowo. Stałem się silny, przystojny, odrosły mi kędzierzawe włosy, u ramion wyrosły mi skrzydła... Tak, skrzydła, delikatne, piękne, jak skrzydła motyla. Chodziłem z kolegami na pikniki, tańce, wieczorki, zajmowałem się flirtem z pannami, ale... wszystko

to mi nie odpowiadało, nie mogło mnie zachwycić. Pragnąłem czegoś innego: wieczorem położyć się wcześniej spać, rano wcześniej wstać, potem popracować — oto do czego dusza mi się rwała: po skończonej pracy spokojnie posiedzieć, popalić, pomyśleć, a w żadnym razie nie włączyć się już po drogach z zawadiacką bandą młodych urwisów... Nie wyobrażasz sobie nawet, ile wycierpiałem w czasie mojej drugiej młodości.

— A jak długo ona trwała?

— Akurat dwa tygodnie. Dla mnie i tak było tego więcej niż dosyć. I to straszne osamotnienie, które odczuwałem! Zrozum, że posiadałem wiedzę i doświadczenie siedemdziesięciodwuletniego człowieka! Najgłębsze myśli tej młodzieży brzmiały w mych uszach jak początki abecadła. A ich spory i rozważania... Słuchając ich, można było umrzeć ze śmiechu, gdyby nie były takie żalosne! Takem się stęsknił za poważnymi ludźmi i trzeźwą rozmową, do jakiej przywykłem, aż w końcu spróbowałem poszukać towarzystwa starych ludzi, ale ci przyjęli mnie jak młodego urwipołcia i wszyscy co do jednego odwrócili się ode mnie. Te dwa tygodnie dały mi się porządnie we znaki. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy znów stałem się posiadaczem łysej głowy, fajki i mogłem oddać się na nowo marzycielskim rozmyślaniom w cieniu drzew i skał.

— Czyżbyś sądził, że już tak na wieki mieć będziesz siedemdziesiąt dwa lata?

— Nie wiem i prawdę mówiąc, nie jestem ciekaw. Ale wiem doskonale, że już nigdy nie zapragnę cofnąć się do dwudziestego piątego roku życia. Teraz już wiem tysiąc razy więcej niż wiedziałem dwadzieścia siedem lat temu i z każdym dniem rozszerzam swoje wiadomości, ale jakoś nie starzeję się pod względem fizycznym. Umysł mój starzeje się,

wzmacnia się, staje się coraz dojrzały i bezustannie się rozwija.

— Czyżby i dziewięćdziesięcioletni starzec też mógł odmłodzić?

— Naturalnie. Ten od razu spróbuje wrócić do lat czterdziestu, przeżyje tak kilka godzin, dopóki nie poczuje się w tej sytuacji wprost durniem; kiedy to zrozumie, przerzuca się na dwadzieścia lat; to okazuje się trochę tylko lepsze; nie minie dzień, a już porzuci liczbę dwadzieścia, przerzuca się na trzydzieści, potem na pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, wreszcie na dziewięćdziesiąt, a w końcu przekonywa się, że czuje się o wiele lepiej i swobodniej właśnie wtedy, kiedy zadowala się tą ostatnią liczbą. Ale zdarza się i tak, że zatrzymuje się na liczbie osiemdziesiąt. To w tym wypadku, kiedy rozum zaczął szwankować po osiemdziesiątym roku życia. W ogóle człowiek dostając się tutaj, wybiera sobie taki wiek, w którym najlepiej rozwinęły się jego zdolności umysłowe, bo wtedy właśnie odczuwa najpełniejsze zadowolenie życiowe.

— Z twoich słów wynika, że dwudziestopięcioletni młodzieniec pozostaje zawsze w tym wieku i zawsze wygląda na dwudziestopięcioletniego?

— Tak, jeżeli jest głupi. Jeżeli zaś jest rozumny, dumny i ambitny, zdobywane przezeń wiadomości i doświadczenie zmieniają jego myśli i upodobania i doprowadzają go do tego, że najwyższe i najpełniejsze zadowolenie znajduje w towarzystwie ludzi starszych, a w zależności od tego nadaje swemu ciału wygląd o tyle lat starszy, ile potrzeba, żeby czuł się zręcznie i swobodnie w tym towarzystwie. I nie poprzestaje na pierwszym kroku: pragnie, żeby jego wygląd zewnętrzny zmieniał się równoległe z postępem wewnętrznym i oto stopniowo, wraz ze zdobywaną mądrością i doświadczeniem, tworzą mu się zmarszczki i łysina.

— Czy to samo dzieje się z dziećmi?

— Dokładnie to samo. Mój Boże, jakimi osłami byliśmy na ziemi, rozmyślając nad tym zagadnieniem! Mówiliśmy, że w raju będziemy wiecznie młodzi. Ale nie mówiliśmy, jak mianowicie będziemy młodzi i być może wcale o tym nie myśleliśmy. .. to jest myśleliśmy, ale niejednakowo. Kiedy miałem siedem lat, pamiętam, myślałem, że wszyscy w raju będziemy mieli dwanaście lat. Kiedy skończyłem dwanaście, myślałem, że wszyscy w raju będziemy mieli po osiemnaście do dwudziestu lat. A kiedy stuknęła mi czterdziestka i zacząłem już oglądać się w tył, pamiętam, miałem nadzieję, że w raju wszyscy liczyć będziemy trzydzieści lat życia. Zarówno mężczyzna, jak chłopiec nie uważają swego wieku za najlepszy. Chłopiec uważa zawsze za ideał wiek o kilka lat starszy od swojego, a mężczyzna przeciwnie — młodszy. Rozumując tak, obaj obdarzają tym rzekomo najlepszym wiekiem wszystkich mieszkańców raju: terażniejszych, przeszłych i przyszłych. Obaj wierzą w to, że wiek ten nie podlega zmianie i sądzą, że wierni powinni być tym stanem rzeczy zachwyceni. Rozważcie tylko tę perspektywę niezmienności! Pomyślcie tylko o raju, którego mieszkańcami byłiby sami siedmioletni malcy, bawiący się cały dzień w ciuciubabkę! Albo tłumy zniekształconych, ledwie powłóczących nogami stuletnich dziadów! Albo zdrowe chłopisko trzydziestoletnie, silne, rozumne, ale przywiązane za ręce i nogi do tej liczby „30” jak czarny niewolnik do wiosła rzymskiej galery! Pomyślcie tylko o nudzie, jaka musi panować w towarzystwie ludzi, którzy są wszyscy co do jednego w tym samym wieku, posiadają te same poglądy, przyzwyczajenia, upodobania i uczucia! Obliczcie tylko, o ile raj będzie ustępował grzesznej ziemi w jej różnorodności typów, twarzy, wieku i ożywienia ruchem miliona interesów, wynikających z zetknięcia się ludzi z ludźmi.

— Słuchaj no — powiedziałem — czy ty wiesz, co

robisz?

— Cóż takiego robię?

— Odmalowujesz raj z jednej strony w sposób bardzo pochlebny, ale z drugiej — kiepsko mu się przysługujesz.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Widzisz, przypuśćmy, że matka zgubiła dziecko i...

— Psst! — przerwał mi. — Popatrz!

Pokazał mi kobietę. Była w średnim wieku i miała siwe włosy. Szła wolno z opuszczoną głową, skrzydła zwisały jej bezwładnie. Wyglądała na bardzo zmęczoną i płakała.

Przeszła z twarzą zalaną łzami i nie zauważyła nas. Sandy powiedział głosem cichym i pełnym żalu:

— Ona szuka swego dziecka! Nie, zdaje się, że już je znalazła. Boże, jakże się zmieniła! Ale od razu ją poznałem, pomimo że widziałem ją dwadzieścia siedem lat temu. Była zupełnie młodą matką — miała lat dwadzieścia dwa czy cztery i odznaczała się wielką urodą. I całe swe serce, całą duszę oddała dziecku, małej dwuletniej dziewczynce. Gdy dziewczynka umarła, matka po prostu zwariowała z rozpaczy, dosłownie zwariowała! Jedyłą jej pociechą była nadzieja, że spotka córeczkę w raju, „żeby się już nigdy nie rozłączyć”, jak mówiła. Słowa te czyniły ją szczęśliwą. Kiedy umierałem, dwadzieścia siedem lat temu, prosiła mnie, żebym zaraz odszukał jej córkę i powiedział jej, że matka niedługo do niej przyjdzie: „Niedługo, o, bardzo niedługo, jestem tego pewna!”

— Jakie to smutne, Sandy!

Milczał chwil kilka, patrząc w ziemię, i widocznie rozmyślał. W końcu powiedział ze smutkiem:

— No i przyszła!

— I co? Mów dalej.

— Stormfield, możliwe, że ona nie znalazła dziecka, ale możliwe również, że znalazła. Widziałem takie wypadki i dawniej. Zauważ tylko: ona zachowała wspomnienie o córce

jako o dziecku, które kołysała i nosiła na rękach. Ale tutaj dziecko nie pozostaje dzieckiem. Ono rośnie. W ciągu tych dwudziestu siedmiu lat córka jej zgłębiła wszystkie tajniki wiedzy, jakie tylko można tu poznać i uczy się dalej, nie tracąc ani sekundy na nic innego poza nauką. Nic dosłownie prócz nauki, badań, rozmów z podobnymi jej istotami o fundamentalnych, wiecznych zagadnieniach.

— No i co?

— Czy nie rozumiesz, do czego zmierzam? Jej matka zna siedemdziesiąt sześć sposobów gotowania borówek, zna ich ceny w różnych porach roku, sposób zbierania i przechowywania, ale oprócz tych borówek o niczym dosłownie nie ma pojęcia. Jak żuk gnojowy nie może być towarzyszem rajskiego ptaka, tak ona nie może być towarzyszką swej córki. Ta biedna kobieta szuka dziecka, żeby je znowu, jak niegdyś, pokołysać. Myślę, że grozi jej pewne rozczarowanie.

— Sandy, więc co z nimi będzie? Czy już tak na wieki mają pozostać nieszczęśliwe ?

— Nie, stopniowo zdołają dojść do porozumienia. Ale nie w tym roku i nie w następnym. Nie, stopniowo...

II

Sporo kłopotu miałem ze skrzydłami. Nazajutrz po moim występie w chórze zrobiłem kilka prób posługiwania się nimi. Rezultat był nieszczęśliwy. Za pierwszym razem przeleciałem ze trzydzieści jardów, wpadłem na jakiegoś Irlandczyka i zwałem go z nóg, przy czym sam też upadłem. Następnym

razem miał miejsce karambol z pewnym biskupem; w rezultacie osoba duchowna wyrznęła o ziemię brzuchem. Wymieniliśmy parę ostrych słów, ale wstyd mi było, że tak niegrzecznie się obszedłem z czcigodną osobistością i to wobec milionów widzów, którzy uśmiechali się i szeptali do siebie, patrząc na nasz zatarg.

Przekonałem się, że nie posiadam dostatecznej umiejętności władania skrzydłami, dlatego też nie mogłem z góry przewidzieć, dokąd mnie zaniosą. Resztę dnia spędziłem już poruszając się pieszo i pozwalając skrzydłom zwisać nieruchomo. Wczesnym rankiem następnego dnia wybrałem sobie odosobnione miejsce do ćwiczeń. Wdrapawszy się na niezbyt wysoką skałę, skoczyłem, celując na niewielki krzew w odległości jakichś trzystu jardów, ale widocznie nie wziąłem pod uwagę wiatru, wiejącego z ukosa na dwa rumbly od rufy. Widziałem, że dzięki niemu odchyliłem się od kursu i dlatego zmniejszyłem działanie prawego kotła... chciałem powiedzieć skrzydła, za to silniej poruszyłem lewym. Ale niewiele mi to pomogło. Widząc, że wiatr zaraz mnie zniesie, zwinąłem oba skrzydła, opuściłem się na ziemię i wróciłem na skałę, żeby dokonać nowej próby. Tym razem celowałem o dwa do trzech rumbów na prawo od krzewu, nawet więcej — tak że wiatr dał mi prawie prosto w twarz. Pracowałem z całych sił, ale ze słabym skutkiem. Zaczynałem rozumieć, że przy niesprzyjającym wietrze skrzydła nie wytrzymają próby. Wynikało stąd, że gdybym chciał się znaleźć w jakimś miejscu odległym od domu tylko o dwa węzły, a wiatr wiałby w przeciwnym kierunku, musiałbym czekać na zmianę wiatru całe doby, a nawet tygodnie. W razie burzy zaś nie można było nawet marzyć o przyczepieniu skrzydeł; przy kursie z wiatrem wpędziłyby cię do grobu, bo nie może być nawet mowy o zmniejszeniu ożaglowania i trzeba poddać wiatrowi całą powierzchnię skrzydeł. Podczas burzy, przy takim kursie

na pewno żałujesz, że ziemia nie jest wyłożona materacem. Nie, nie, jedyny ratunek w takim wypadku to trzymać się pod wiatr. Każdy inny sposób latania doprowadzić musi do niechybnej katastrofy.

W kilka dni po tych eksperymentach — a o ile pamiętam, było to we wtorek — wysłałem kartkę do Sandy'ego McWilliamsa z prośbą, żeby przyszedł do mnie nazajutrz na kaszę i smażoną przepiórkę. Ledwie wszedł do mego mieszkania, zapytał z nutą ironii w głosie:

— No, kapitanie, co zrobiłeś ze swymi skrzydłami?

Natychmiast wyczułem sarkazm w jego głosie, ale nie dałem mu tego poznać i odpowiedziałem krótko:

— Oddałem je do prania.

— Tak — zauważył sucho — w tym czasie najczęściej oddają je do prania, nieraz to zauważyłem. Świeżo upieczeni aniołowie niezwykle lubią czystość. A kiedy spodziewasz się odebrać je z powrotem?

— Pojutrze.

Mrugnął na mnie i uśmiechnął się. Wtedy zacząłem:

— Sandy, dajmy temu spokój. Gadaj wszystko, co masz do powiedzenia. Co to za sekrety między przyjaciółmi? Widzę, że nienosisz skrzydeł i wielu innych bierze z ciebie przykład. Pewnie znowu postąpiłem jak głupiec, prawda?

— Tak, ale to niewielki kłopot. W afekcie wszyscy tak postępujemy. To całkiem naturalne. W tym sęk, że stwarzamy sobie na ziemi takie głupie pojęcie o niebie i niebiańskich porządkach. Na obrazkach widzieliśmy anioły zawsze ze skrzydłami. Jest to zupełnie uzasadniony sposób wyobrażania ich sobie. Ale my wywnioskowaliśmy z tego zaraz, że skrzydła służą im jako środek lokomocji. A to wniosek zupełnie mylny. Skrzydła są mundurem anielskim, to wszystko. Na służbie, jeśli można się tak wyrazić, mają je zawsze na sobie. Nigdy nie zobaczysz, że anioł, wysłany

gdzieś z poleceniem, zapomniał przyczepić skrzydła, tak samo jak nie zobaczysz ani jednego oficera, ani jednego listonosza czy policjanta na służbie bez munduru. Ale to wcale nie znaczy, że skrzydła anielskie służą do latania! Służą one od parady, a nie do celów użytkowych. Starzy, doświadczeni aniołowie, tak samo jak oficerowie armii po zakończeniu zajęć służbowych, przebierają się w strój cywilny. Anielscy nowicjusze zaś przypominają mi strażaków ochotników, nierozstających się nigdy z mundurem galowym. Bez ustanku trzepocą skrzydłami, przelatują z miejsca na miejsce, przewracają ludzi po drodze i wierzą głęboko, iż stanowią centralny punkt powszechnego zainteresowania. Co więcej, uważają siebie za pierwszorzędne osobistości w niebie. Gdy zobaczycie na zakręcie któregoś z tych frantów z jednym skrzydłem w ruchu, a drugim opuszczonym, bądźcie przekonani, że w takiej chwili mówi sam do siebie: „Ach, żeby Mary Ann z Arkansas mogła mnie teraz zobaczyć! Jestem pewien, że pożałowałyby swego lekceważącego tonu”. Nie, nie, przyjacielu! Skrzydła dane nam są tylko do ozdoby, ot i wszystko.

— Zdaje mi się, że masz absolutną rację, Sandy — wtrąciłem.

— Rusz no sam głową. Budowa twego ciała nie przewiduje skrzydeł, zresztą nikt nie jest zbudowany tak, żeby mógł posługiwać się skrzydłami. Sam przecież wiesz, ile lat było potrzeba, żebyś dostał się tutaj z ziemi, a przecież szybowaleś prędzej niż pocisk artyleryjski. Wyobraź sobie, że musiałbyś lecieć tu jedynie przy pomocy skrzydeł — toć nie przybyłbyś tutaj nawet na dzień sądu ostatecznego. No a aniołowie codziennie muszą odbywać podróże na ziemię, miliony aniołów latają tam codziennie, żeby ukazywać się w widzeniach umierającym dzieciom i ludziom wierzącym. To zajęcie jest, że tak powiem, ich specjalnością. Zjawiają się tam

ze skrzydłami po pierwsze dlatego, że są wówczas osobami oficjalnymi, po drugie dlatego, że umierający nie wzięliby ich za anioły, nie widząc skrzydeł. Ale skąd przypuszczenie, że latają tam przy pomocy skrzydeł? Rozumie się samo przez się, że nie. Przede wszystkim skrzydła zniszczyłyby się w połowie drogi i nie zostałyby z nich ani piórko. Ich nasada stałaby się naga jak szkielet latawca przed oklejeniem go papierem. Odległości w niebie są miliardy razy większe niż odległość między niebem a Ziemią, toteż aniołowie muszą całymi dniami uganiać się po niebie. Czy daliby sobie radę, posługując się tylko skrzydłami? Naturalnie, że nie. Skrzydła noszą tylko dla zachowania stylu, a dowolne odległości pokonują jedynie przy pomocy życzenia. Czarodziejski dywan z arabskich „Bajek z tysiąca i jednej nocy” to dowcipny pomysł, ale nasze ziemskie pojęcie o aniołach, przelatujących te straszliwe odległości na jakichś niezdarnych skrzydłach, sprawia naprawdę głupie wrażenie. Nasi młodzi święci i święte stale noszą skrzydła płomiennoczerwone, niebieskie, zielone, żółte, złociste, różnokolorowe, ze szlaczkiem, pstre, w pasy — i nikomu to nie przeszkadza. To akurat pasuje do ich wieku. Ładna rzecz, więc się młodym podoba. To najładniejsza część ich stroju, że o aureoli ni wspomnę.

— Włożyłem moje do szafy i będę je tam trzymał, aż się zakurzą.

— Albo do najbliższego przyjęcia.

— A cóż to?

— Sam zobacz dziś wieczorem, jeżeli masz ochotę.

Będą dziś przyjmować jednego karczmarza, nowo nawróconego z Jersey City.

— Opowiedz mi o nim.

— Przyjął chrześcijaństwo na jednym z mityngów w Nowym Jorku. Potem wracał do domu promem, zdarzyła się katastrofa i utonął. Należy on do tego typu ludzi, którzy

myślą, że całe niebo oszaleje z radości na wieść o zbawieniu duszy szczególnie opornego osobnika. Tacy jak on są przekonani, że całe niebo wyjdzie na ich spotkanie z okrzykami „hosanna” i że w całym bezmiarze niebios w dniu ich przybycia o niczym innym nie będzie się mówić. Ten nowo nawrócony sądzi, że tu u nas od dobrych stu lat nie było tak doniosłego zdarzenia, jak jego przybycie. Sam zaobserwowałem pewien rys charakterystyczny dla nowo nawróconych nieboszczyków: nie wystarcza im pewność, że całe niebo wyjdzie na ich spotkanie, ale czekają jeszcze na uroczystą procesję z pochodniami.

— To znaczy, że spotka go rozczarowanie?

— Bynajmniej. Tutaj nikt się nie rozczarowuje. Tu można mieć wszystko, czego się pragnie, to znaczy wszystko, co jest osiągalne... Tu zawsze znajdują się miliardy milionów młodzieży, dla której najlepszą rozrywką jest wołać „hosanna” i machać pochodniami ku ucieście karczmarza. Nowo przybyłemu mile to pochlebia, a młodzież jest zachwycona, cała ceremonia nie robi nikomu krzywdy, nie kosztuje ani grosza i oprócz tego podtrzymuje reputację nieba jako miejsca, które każdego przybysza czyni radosnym i zadowolonym.

— Świetnie. Przyjdę popatrzeć na powitanie karczmarza.

— Zwróć uwagę, że wymagany jest pełny strój galowy.

No wiesz, skrzydła i reszta.

— Mianowicie?

— Aureola, harfa, gałązka palmowa i tak dalej.

— Wstyd mi bardzo, ale fakt pozostaje faktem.

Pozbyłem się tego wszystko w chwili, gdy wypisałem się z chóru. Zatrzymałem tylko to, co mam na sobie i skrzydła.

— Nie szkodzi. Przekonasz się, że zabrano wszystko i przechowano. Sprowadź to.

— Tak zrobię, Sandy. Ale wspomniałeś coś o rzeczach, co do których jeżeli ktoś ich zapragnie, będzie musiał się rozczarować?

— O, tutaj jest mnóstwo takich rzeczy, które niejeden rad by posiadać, ale nigdy nie dostanie. Oto przykład: na Ziemi, w Brooklynie, jest pewien kaznodzieja nazwiskiem Talmadge, który gotuje sobie poważne rozczarowanie. W swoich kazaniach bezustannie powtarza, że dostawszy się do raju, pójdzie przede wszystkim uściskać Abrahama, Izaaka i Jakuba, że będzie całować ich i płakać wraz z nimi. Na ziemi są miliony ludzi, którzy przysięgają sobie postąpić kubek w kubek tak samo. Każdego bożego dnia zjawia się tutaj dobre sześćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy chcą biec prosto do Abrahama, Izaaka i Jakuba, żeby ich uściskać i ucałować i zalać się łzami. Wyobraź sobie: sześćdziesiąt tysięcy! To trochę za duża porcja dla staruszków. Gdyby się na to zgodzili, musieliby nie robić nic innego, tylko całymi latami stać w miejscu i dać się ścisnąć oraz oblewać łzami trzydzieści dwie godziny na dobę. Byliby wciąż zmęczeni i mokrzy jak myszy. W cóż by się wtedy raj dla nich zamienił? W miejsce, z którego chciałoby się jak najprędzej uciec. To poczciwi i łagodni starzy Żydzi, ale na całowanie się ze zwariowanymi fanatykami z Brooklynu mają tyle samo ochoty co ty. Zapamiętaj moje słowa: egzaltacje pan T. zostaną grzecznie zgaszone. Granice uprzejmości dla nowo powołanych istnieją nawet w raju. Gdyby Adam pokazywał się każdemu przybyszowi, który zapragnie do niego wpaść po autograf, nie miałyby już czasu na nic innego. Talmadge mówił, że chce złożyć hołd Adamowi, podobnie jak podobnie jak patriarchom A., I. i J., ale będzie musiał zmienić plany.

— Czy sądzisz, że Talmadge naprawdę tu przybędzie?

— O, naturalnie, ale niech cię to nie przeraża. Przyłączy się do podobnych sobie, a tych jest tutaj mnóstwo. Urok nieba

polega głównie na tym, że są tu ludzie różnego gatunku; ale nie brzmiałoby to atrakcyjnie, gdyby mówili o tym kaznodzieje. Każdy znajdzie tu odpowiednie dla siebie towarzystwo, a innych pozostawi w spokoju, oni zaś się odwzajemnią. Jeżeli bóstwo buduje niebo, robi to sensownie i w duchu liberalnym.

Sandy posłał do domu po swoje rzeczy, ja też posłałem po swoje i około dziewiątej zaczęliśmy się ubierać.

— Będzie to dla ciebie wielki dzień, Stormfield. Wygląda na to, że dziś pokaże się tłumowi niejeden patriarcha.

— Doprawdy?

— Na to wygląda. Oni zazwyczaj trzymają się na uboczu, prawie nigdy nie pokazują się zwykłej publiczności. Wydaje mi się, że robią wyjątek tylko dla konwertyty nawróconego od jedenastu godzin. A i nawet wtedy nie pokazaliby się, gdyby nie ziemską tradycją, która każe urządzić z tej okazji wielkie widowisko.

— A czy pokazują się razem, Sandy?

— Kto? Wszyscy patriarchowie? Rzadko kiedy w większej liczbie niż dwóch na raz. Żeby zobaczyć wszystkich proroków i patriarchów, będziesz musiał spędzić tu z pięćdziesiąt tysiącleci albo i więcej. W czasie mego pobytu tutaj raz tylko pokazał się Hiob i raz Cham z Jeremiaszem. Ale najciekawszy przypadek, którego byłem świadkiem, miał miejsce przed rokiem. Zdarzyło się to akurat podczas przyjęcia Anglika, Charlesa Peace'a, zwanego Mordercą z Bannercross. Tego dnia na Wielkiej Równinie było obecnych czterech patriarchów i dwóch proroków, podobnego przyjęcia nie widziano od czasów przybycia kapitana Kidda. Był tu Abel, po raz pierwszy od tysiąca dwustu lat... Krążyła pogłoska, że ma zamiar pojawić się sam Adam. Rzecz prosta, wystarczyłby Abel, żeby zgromadzić niezliczone tłumy, ale

nikt tak nie przyciąga ludzi, jak Adam. Pogłoska była fałszywa, ale już się rozeszła. Daję słowo, nieprędko znów coś takiego zobaczą. Przyjęcie odbywało się w departamencie angielskim, położonym osiemset jedenaście milionów mil od od rejonu New Jersey. Poszedłem i ja w liczonym towarzystwie sąsiadów, no i powiadam ci, było na co patrzeć. Zebrały się tłumy ludzi ze wszystkich departamentów. Widziałem tam Eskimosów, Tatarów, Murzynów, Chińczyków, słowem, ludzi ze wszystkich stron. Musiałeś widzieć taką mieszaninę narodowości w Wielkim Chórze, było to w dzień twego wylądowania tutaj, ale wątpliwe, czy zobaczysz to kiedyś jeszcze. Miliardy ludzi. Kiedy śpiewali i wołali „hosanna”, powstawał nieopisany hałas, a nawet w momentach, kiedy ich języki milczały, trzeszczało w głowie od bezustannego szelestu skrzydeł. Niebo było ciemne, jakby spadł śnieg — takie chmury unosiły się w powietrzu. Mimo że Adam się nie pokazał, był to wielki dzień, gdyż nad Wielką Równiną unosiło się aż trzech archaniołów, a musisz wiedzieć, że nawet jeden pokazuje się bardzo rzadko.

— Jak oni wyglądają, Sandy?

— Twarze ich promienieją, szaty mają połyskujące; skrzydła o niezwykle pięknym rysunku. Każdy z nich liczy osiemnaście stóp wzrostu, nosi miecz i głowę dumnie zadziera do góry. Podobni są do wojskowych.

— A czy mają aureole?

— Nie, nie mają, to jest, nie mają zwykłych aureoli. Archaniołowie i patriarchowie wyższej klasy noszą coś ładniejszego, a mianowicie ciężki krążek ze szczerego złota o oślepiającym blasku. Zapewne nieraz oglądałeś na ziemi podobizny patriarchów, pamiętasz? Są na nich wyobrażeni z głową otoczoną jakby miedzianym krążkiem. Ale to tylko słaby obraz tego, co istnieje w rzeczywistości, naprawdę są one o wiele piękniejsze i bardziej błyszczące.

— Rozmawiałeś kiedy z tymi patriarchami i archaniołami, Sandy?

— Kto? Ja? Co też ci przychodzi do głowy, Stormfield? Rozumie się samo przez się, że nie jestem godzien nawet do nich przemówić.

— A Talmadge?

— Oczywiście, że nie. Masz w głowie chaos pojęć, jak wszyscy tam na dole. Sam kiedyś tak miałem, ale wybrnąłem z tego. Na Ziemi mówią o Królu Niebios, całkiem słusznie, ale uważają przy tym królestwo niebieskie za coś w rodzaju republiki, gdzie wszyscy są równi i każdy ma prawo ścisnąć się i całować, i spoufalać ze wszystkimi bez różnicy, od maluczkich do wielkich. Co za pocieszna naiwność! Bo cóż to za republika, jeśli istnieje król? I jakże można proklamować republikę, skoro głowa państwa jest monarchą absolutnym, dzierży swój tron na wieki, nie ma ani parlamentu, ani rady, która by miała prawo mieszać się w jego sprawy? Tu nikt nie wybiera ani nie jest wybierany, nikt nie ma głosu w sprawach rządzenia, nikogo nie proszą o udział w nim, co więcej, nikomu w najmniejszym stopniu nie pozwalają nim się interesować. Ładna republika, prawda?

— Tak, okazuje się, że jest trochę inaczej, niż oczekiwałem. Sądziłem jednak, że będzie mi dozwolone zawrzeć znajomość ze znakomitościami. Naturalnie, bez spoufalania się, ale ot, po prostu uścisnąć dłoń i porozmawiać chwilkę.

— A jak ci się zdaje: czy każdy szarak może z takim życzeniem udać się na przykład do gabinetu ministrów cara? Na przykład do księcia Gorczakowa?

— Nie sądzę, Sandy.

— Tym bardziej, że w Rosji nawet nie zanoszą się na republikę. Tutaj też istnieje hierarchia. Są wicekrólowie, książęta, gubernatorzy, wicegubernatorzy,

wicewicegubernatorzy i setki tytułów arystokratycznych, począwszy od archaniołów wice księcia, stopień za stopniem w dół, aż do poziomu, gdzie nia ma już żadnych tytułów. Czy wiesz, kto to jest książę krwi?

— Nie.

— Widzisz, książę krwi nie należy ani do rodziny królewskiej, ani do zwykłej szlachty. Zajmuje pozycję niższą niż ci pierwsi i wyższą niż ci drudzy. Podobnie jak Profeci i prorocy tutaj. W niebie istnieje potężna arystokracja, której ani ja, ani ty nie jesteśmy godni butów czyścić. Natomiast ta arystokracja nie jest godna czyścić buty patriarchom i prorokom. Teraz masz pojęcie o ich randze? Jeżeli zwykłemu śmiertelnikowi uda się popatrzeć na któregoś z nich choćby przez dwie minuty, to i tak tysiąc lat będzie wspominać i opowiadać o tym wypadku. Wyobraź sobie tylko, kapitanie, gdyby Abraham stąpił nogą koło tych drzwi, jego ślad natychmiast ogrodzono by i umieszczono pod szkłem, a tłumy ludzi schodziłyby się tu ze wszystkich krańców nieba, ażeby nań popatrzeć. Nawiasem mówiąc, Abraham należy do tych osób, które Mr. Talmadge z Brooklynu ma zamiar uściskać, ucałować i oblać łzami. Będzie musiał przygotować sobie wielki zapas tej wilgoci, inaczej stawiam pięć przeciw jednemu, że jego łzy wyschną, zanim się doczeka okazji spełnienia swego zamiaru.

— Sandy, ja też wyobrażałem sobie, że tutaj będę wszystkim równy, ale teraz muszę tę myśl porzucić. Ale to nieważne, jestem dostatecznie szczęśliwy i bez tej równości.

— Kapitanie, jesteś szczęśliwszy niż mógłbyś być, tak to ujmij. Ci starożytni patriarchowie i prorocy dystansują cię o całe tysiąclecia. W jakieś dwie minuty poznają więcej niż ty w ciągu roku. Czy próbowałeś kiedyś miło pogawędzić sobie z przedsiębiorcą pogrzebowym o wiatrach, prądach i odchyleniach kompasu?

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Sandy. Taki rozmówca nie mógłby mnie zainteresować. Okazałby się ignorantem w takich sprawach i zanudziłibyśmy się nawzajem.

— Dobrze zrozumiałeś. Zanudziłbyś patriarchę tym co mówisz, a oni swoją błyskotliwością roznieśliby cię na strzepy. Na koniec powiedziałbyś: „Do widzenia, wasza eminencjo, zajdę tu jeszcze”, ale oczywiście tak byś nie zrobił. Przecież nigdy nie zaprosiłbyś na obiad do swojej kajuty okrętowego pomywacza?

— I znów rozumiem, do czego zmierzasz, Sandy. Jako osoba nieprzyzwyczajona do towarzystwa tak wielkich ludzi, czułbym się onieśmielony i nie byłbym w stanie wydusić słowa, a koniec wizyty powitałbym z olbrzymią ulgą. Powiedz, Sandy, kto ma wyższą rangę: prorok czy patriarcha?

— O, prorocy stoją wyżej niż patriarchowie. Najmłodszy prorok znaczy więcej niż najstarszy patriarcha. Tak jest, nawet Adam stoi w rzędzie za Szekspirem.

— To Szekspir był prorokiem?

— Oczywiście, tak jak Homer i masa innych. Ale Szekspir i cała reszta muszą oddać pierwszeństwo zwykłemu krawcowi nazwiskiem Billings z Tennessee i weterynarzowi nazwiskiem Sakka z Afganistanu. Jeremiasz, Billings i Budda idą ramię w ramię zaraz za tłumem profetów z innych planet nie naszego systemu. Po nich idą ze dwa tuziny z Jowisza i innych światów, następnie Daniel, Sacca i Konfucjusz, dalej całe mnóstwo osobników z innych systemów astralnych, potem Mahomet, Ezechiel i Zoroaster oraz pewien szlifierz ze starożytnego Egiptu, potem długi sznur innych postaci, a po nich, prawie na samym końcu, Szekspir, Homer i pewien szewc nazwiskiem Marais, z głębokiej francuskiej prowincji.

— Czy naprawdę do profetów zaliczono Mahometa i innych pogan?

— Tak, oni wszyscy mieli swe posłannictwo i wszyscy otrzymują nagrody. Człowiek, który nie otrzymał nagrody na ziemi, na pewno otrzyma ją w niebie. Nie ma powodu do niepokoju.

— Ale dlaczego to Szekspir znalazł się na szarym końcu, w towarzystwie jakichś szewców, konowałów i szlifierzy, o których nikt nigdy nawet nie słyszał?

— W tym się przejawia sprawiedliwość niebieska — na ziemi nie dano im nagrody wedle zasług, tu oddają im to, co im się należy. Ten krawiec z Tennessee, Billings, pisał wiersze, na jakie nie stać ani Homera, ani Szekspira, ale nikt ich nie chciał drukować nikt, ich nie czytał prócz jego nieokrzesanych sąsiadów, którzy te poezje wyśmiewali. W każde święto, podczas zwykłych w takim dniu tańców, wciągali go wkoło, na głowę wieniec z liści kapusty i kłaniali mu się do ziemi. Raz w nocy, kiedy był chory, prawie umierający, wyciągnęli go z domu, uwieńczyli kapustą i powieźli dokoła wsi na taczkach, wrzeszcząc, krzycząc i bijąc pięściami w miedziane rondle. Rano umarł. Nigdy nie marzył, że dostanie się do nieba, nie mówiąc już o tym, że nie spodziewał się narobić w niebie, takiego zamętu. Sądzę, że był bardzo zdziwiony uroczystym przyjęciem, które mu urządzono.

— A ty byłeś na tym przyjęciu, Sandy?

— Mój Boże, naturalnie, że nie.

— Jak to? Czyżbyś nie wiedział, że się ma odbyć?

— Jakżebym mógł nie wiedzieć? Mówiono o nim już na dwanaście lat przed śmiercią poety, nie tak, jak z tym nowo nawróconym.

— Więc dlaczego nie poszedłeś tam?

— Co też ty wygadujesz? Żeby ktoś taki jak ja, szedł przyjmować prorok? Żeby takie nędzne stworzenie próbowało

пчаć się tam i pomagać w przyjmowaniu największego z dostojników, Edwarda D. Billingsa największego dostojnika w w promieniu miliardów mil. Nigdy nie przestałbym być pośmiewiskiem.

— Któż więc uczestniczył w przyjęciu?

— Bardzo niewielu, kapitanie, i to tacy, co do których wątpię, czy mnie albo tobie uda się kiedykolwiek ich zobaczyć. Żaden z plebejuszów nigdy jeszcze nie miał szczęścia oglądać przyjęcia do nieba proroka. Uczestniczy w tym cała arystokracja, wszyscy patriarchowie i prorocy, wszyscy archaniołowie, książęta, gubernatorowie i wicekrólowie i ani jednego, rozumiesz, ani jednego zwykłego śmiertelnika. Ale zwróćcie uwagę, że mówię o arystokracji i możnych nie tylko naszego świata, ale o książętach, patriarchach i tym podobnych ze wszystkich światów; jaśniejących na naszym niebie i z miliardów innych, należących do systemów, z którymi nasz nie ma nic wspólnego. Na tym przyjęciu było obecnych kilku takich proroków i patriarchów, w porównaniu z którymi nasi to zupełna nędza, jeśli idzie o rangę i sławę. Niektórzy z nich pochodzili z Jowisza i z innych światów naszego systemu, ale trzech najślawniejsi spośród nich — poeci Saaj, Bo i Suf — pochodzili z ogromnych planet z trzech różnych systemów, znacznie oddalonych od naszego słońca. Te trzy nazwiska są znane w każdym najnędzniejszym zakątku nieba. Rozślawione są równie szeroko jak imiona osiemdziesięciu Najwyższych Archaniołów. A tymczasem, nasz Mojżesz, Adam i inni nikomu nie są znani poza granicami niewielkiego zakątka nieba, przeznaczonego dla ludzi naszego świata. Nikt ich nie zna z wyjątkiem kilku rozproszonych tu i ówdzie uczonych, którzy stale przekręcają ich imiona i płaczą czyny jednego z czynami drugiego. Wymieniają tylko system słoneczny, uważając, że to wystarczy i nie wdają się w takie szczegóły,

jak oznaczanie poszczególnej planety. To przypomina pewnego uczonego Hindusa, który, chcąc dowieść, jak szerokie posiada wiadomości, mówił, że Longfellow mieszka w Stanach Zjednoczonych — jak gdyby Longfellow sam jeden zajmował całe Stany Zjednoczone i jak gdyby kraj ten był tak mały, że jeżeliby ktoś rzucił kamieniem, nie mógłby nie trafić Longfellowa. Mówiąc między nami, drażni mnie to lekceważenie i chłód, z jakim ludzie z tych dziwacznych światów poza naszym systemem traktują nasz mały świat, a nawet nasz system. My wprawdzie jesteśmy dobrego zdania o Jowiszu, bo nasza Ziemia w porównaniu z nim to kartofel. Za to w innych systemach istnieją światy, wobec których i Jowisz wyda się ziarnkiem gorczycy — taka jest na przykład planeta Goobra, której w żaden sposób nie można by pomieścić w orbicie komety Halleya, nie psując całego układu. Turyści z Goobry (mówię o ludziach, którzy na niej żyli i umarli — o ludności miejscowej, że tak powiem), otóż ci turyści przyjeżdżają czasem tutaj i rozpytują o nasz świat. Dowiadując się, że jest tak mały, że fala elektryczna może obieć go wzdłuż równika w jedną ósmą sekundy, natychmiast łapią się za coś, na czym się można oprzeć, i zaczynają pękać ze śmiechu. Potem wkładają w oko lupę i zaczynają nas oglądać jak jakiego małego owada. Jeden z nich zapytał mnie, jak długo trwa nasz dzień. Kiedy mu odpowiedziałem, że przeciętnie dwanaście godzin, był zaintrygowany, czy moi współmieszkańcy, zważywszy „śmieszna” długość tego dnia, uważają za potrzebne myć się co rano. Ci ludzie z Goobry nigdy nie ominą sposobności rzucenia nam w twarz przy spotkaniu, że ich dzień trwa trzysta dwadzieścia dwa nasze lata. Ten, który wypytywał mnie o nasz dzień, był dopiero wyrostkiem, miał sześć razy siedem tysięcy dni, czyli po naszymu: około dwóch milionów lat. Wyglądał bardzo głupio, jak się wygląda w tym wieku, kiedy człowiek przestaje już

być dzieckiem, ale nie jest jeszcze mężczyzną. Gdyby to miało miejsce gdziekolwiek poza niebem, pokazałbym mu, gdzie raki zimują. Tak więc temu Billingsowi urządzono uroczyste przyjęcie, jakiego niebo nie oglądało dobre sto tysięcy i sądzę, że będzie to miało doniosłe konsekwencje. Nazwisko Billingsa zdobędzie szeroki rozgłos, wszyscy zaczną mówić o naszym systemie, a kto wie, może i o naszym świecie, co naturalnie podniesie naszą reputację wśród szerokiej publiczności niebiańskiej. Osądź sam: Szekspir szedł tyłem do przodu, sypiąc kwiaty na drogę, pod nogi krawca z Tennessee, zaś Homer podczas bankietu stał za jego fotelem i służył mu za lokaja. Naturalnie, że to nie miało znaczenia tutaj, wśród tych wszystkich wielkich przybyszów z innych systemów, bo nikt z nich nigdy nie słyszał ani o Szekspirze, ani o Homerze. Inaczej byłoby na ziemi, gdyby się o tym dowiedziano. Cieszyłbym się, gdyby w tym żalosnym spirytyzmie było choć za grosz prawdy: moglibyśmy wtedy wysłać tam wiadomość. Wioska w Tennessee natychmiast postawiłaby Billingsowi pomnik, a jego autograf zyskałby większą wartość niż autograf samego Szatana. Tak, to było huczne przyjęcie. Wiele mi o nim opowiadał ten plotkarz arystokrata z Hoboken, baronet Sir Ryszard Deffer.

— Jak to, Sandy, baronet z Hoboken? W jaki sposób?...

— Bardzo prosty. Deffer miał małą wędliniarnię i przez całe swoje życie nie odłożył ani grosza, bo wszystkie swe oszczędności na mięsie oddawał biednym. Nie żebrakom, o nie, lecz ludziom innego pokroju, takim, którzy raczej umrą z głodu niż pójdą żebrac, uczciwym ludziom, którzy znaleźli się bez pracy. Dick wziął sobie za zasadę wynajdywać mężczyzn, kobiety i dzieci z piętnem głodu na twarzy i chodzić za nimi do ich domów. Tam rozpytywał się o nich u sąsiadów, a potem karmił ich i wynajdywał im pracę. Ponieważ nikt nie widział, żeby Deffer dawał coś komu,

wyrobiono mu reputację skąpca. Umarł z nią i wszyscy uważali, że dobrze się stało. Ale ledwie tu wylądował, natychmiast nadano mu tytuł baroneta. Pierwsze słowa, które Dick, wędliniarz z Hoboken usłyszał w niebie brzmiały: „Witaj, baronecie Ryszardzie Deffer”. Bardzo go to zdziwiło, bo miał pewne podstawy przypuszczać, że będzie mu przeznaczona miejscowość o cieplejszym klimacie.

Zanim Sandy wypowiedział dwa ostatnie słowa, cała ziemia drgnęła i zahuczała od tysiąca grzmotów i potężnych wybuchów. Sandy rzekł:

— Ach, to na cześć nowo nawróconego.

Zerwałem się z miejsca i zawołałem:

— No to ruszajmy się, Sandy, jeśli nie chcemy, aby ominęło nas coś z tych atrakcji.

— Siedź spokojnie, teraz tylko telegrafują o nim.

— To znaczy?...

— Te strzały oznaczają jedynie, że dostrzeżono go na stacji sygnałowej. Wsiądzie w Sandy-Hook. Na jego spotkanie wyjdzie komitet, który go wprowadzi do nieba. Będą tak różne ceremonie i opóźnienia w programie, więc długo jeszcze nie powrócą do przystani. Sandy-Hook leży stąd o dobre dziesięć miliardów mil.

— I ja mogłem być takim karczmarzem i przeżyć swoje pięć minut — rzekłem melancholijnie, przypominając sobie moje samotne przybycie tutaj, bez żadnych komitetów i hałasu.

— Słyszę nutę żalu w twoim głosie — zauważył Sandy.

— To rzecz naturalna, ale nie oglądaj się w przeszłość.

Przybyłeś zgodnie ze swymi światłami sygnałowymi i teraz już za późno żałować.

— Ach, było, minęło, Sandy. Ale macie tu też swoje Sandy-Hook, prawda?

— Mamy tu wszystko, dokładnie jak na Ziemi.

Wszystkie stany i terytoria USA, wszystkie królestwa Ziemi, wyspy i morza są tu położone tak jak na kuli ziemskiej, mają taki sam kształt i zajmują proporcjonalną powierzchnię, tyle że każdy stan, królestwo i wyspa są tu miliardy razy większe niż tam w dole. Ale oto nowy sygnał.

— A ten co oznacza?

— To tylko odpowiedź drugiego fortu. Każdy z nich daje salwę z tysiąca stu jeden piorunów na raz. To zwykła tutaj salwa honorowa dla gościa przybywającego w jedenastej godzinie: po sto dla każdej godziny i jeden ekstra jako znak płci gościa; gdyby to była kobieta, pominięto by dodatkowy strzał.

— A skąd wiemy, Sandy, że salwę oddało tysiąc sto jeden dział? Bo przecież wiemy to na pewno.

— Nasz umysł bardzo się tu wyostrza pod wieloma względami, również pod tym. Wszystkie liczby, wielkości i odległości są tutaj tak ogromne, że musimy się uczyć wyczuwać je. Stare metody pojmowania ich, pomiary i wyliczenia nie mogą dać nam o nich pojęcia, przeciwnie — zmylą nas tylko i przytłoczą ogromem cyfr.

W toku dalszej rozmowy stwierdziłem:

— Sandy, zauważyłem, że tu bardzo rzadko spotyka się białe anioły. Na jednego białego przypada sto milionów czerwonoskórych, nierozumiejących po angielsku. Dlaczego tak się dzieje?

— Cóż, można to zauważyć w każdym ze stanów i na każdym terytorium amerykańskiego zakątka nieba, na którym się znajdujemy. Próbowiałem tu kiedyś iść przed siebie cały tydzień, przebyłem miliony milionów mil, minąłem całe chmury aniołów, ale nie widziałem pośród nich ani jednego białego i nie słyszałem ani jednego słowa, które mógłbym zrozumieć. Bo Ameryka, widzisz, była przez milion lat albo i

więcej zajęta przez Indian, Azteków i tym podobne ludy, zanim stanęła na niej stopa białego człowieka. W ciągu pierwszych trzystu lat od chwili odkrycia Ameryki przez Kolumba, białych było tu bardzo niewiele, licząc nawet z posiadłościami brytyjskimi włącznie. Na początku ubiegłego wieku było ich tylko jakieś sześć do siedmiu milionów, powiedzmy siedem; w 1825 roku — dwanaście do czternastu milionów, powiedzmy dwadzieścia trzy miliony w roku 1850 i czterdzieści milionów w roku 1875. Roczny procent śmiertelności nie przekraczał u nas nigdy dwóch. To znaczy, że w pierwszym roku ubiegłego stulecia umarło 140 000, w 1825 roku — 280 000, 500 000 w roku 1850 i około miliona w 1875 roku. Będę brał okrągłe liczby, mogę więc przyjąć, że w Ameryce wymarło dotąd pięćdziesiąt milionów białych — niech będzie sześćdziesiąt, nawet sto. Trzydzieści czy czterdzieści milionów nie ma tu znaczenia. Teraz sam rozumiesz, co będzie, jeśli rozsiać tę gromadkę ludzi na terytorium niebiańskiej Ameryki, liczącym sto miliardów mil. Będzie to wyglądało, jakby ktoś rozsypał po Saharze dziesięciocentowe pudełeczko pigułek homeopatycznych. Odnajdź je potem! My, biali, jesteśmy w niebie niczym — to fakt. Uczni, z innych planet i innych systemów, podróżujący po królestwie niebieskim, trafiają i do naszego zakątka. Po powrocie do swego rejonu nieba piszą i wydają notatki z podróży, w których Ameryce poświęcają akurat pięć wierszy. Wiecie, co tam o nas piszą? Piszą, że te pustynie są zaludnione zaledwie kilkoma setkami trylionów czerwonych aniołów, pośród których z rzadka trafia się jakiś wypłowiwały. Widzisz, oni nas i Murzynów uważają również za czerwonoskórych, ale takich, którzy zbieleli lub szernieli na skutek jakiejś choroby zesłanej nam za jakieś okropne, niesłychane grzechy. No i czy nie jest to dla nas upokarzające, mój przyjacielu? Nawet dla najskromniejszych pośród nas, nie mówiąc już o tych, którzy

myślą, że będą ich tu przyjmować jak jakich królów i że pójda na piwo z Abrahamem. Nie pytałem cię o szczegóły, kapitanie, ale przypuszczam, o ile moje doświadczenie jest cokolwiek warte, że w dniu swego przybycia tutaj nie słyszałeś okrzyków „hura!”?

— Dajmy temu spokój, Sandy — odparłem wymijająco czerwieniąc się trochę. — Z radością dałbym dowolną sumę dolarów, byle tylko mego przybycia tutaj nie widział nikt z moich znajomych. Zmieńmy temat, Sandy.

— Dobrze. Masz prawdopodobnie zamiar osiedlić się na stałe w departamencie kalifornijskim?

— Nie wiem, doprawdy. Miałem zamiar nie decydować nic w tej mierze przed przybyciem tu mojej rodziny. Pragnąłem na razie rozejrzeć się i nie śpiesząc się, z wolna powziąć decyzję. Prócz tego mam tu sporo znajomych nieboszczyków. Liczyłem na to, że ich odnajdę i że będę mógł pogadać o przyjaciołach, o starych dobrych czasach, w ogóle o tym i o owym, aby przekonać się, jak im się tutaj podoba. Sądzę, że moja żona będzie chciała osiedlić się w rejonie kalifornijskim, bo wszyscy jej umarli na pewno tam się znajdują, a ona lubi mieszkać wśród znajomych.

— Ach, nie pozwalaj jej na to. Widziałeś już, jaka jest sytuacja białych w rejonie Jersey? W kalifornijskim jest tysiąc razy gorsza. Tam aż się roi od brudnoszarych aniołów. Od najbliższego sąsiada będziesz oddalony z milion mil drogi. W niebie człowiekowi najbardziej brak towarzystwa znajomych tej samej rasy, koloru skóry i języka. Z tego też powodu raz czy dwa przenosiłem się do rejonu europejskiego.

— Dlaczego więc nie pozostałeś tam, Sandy?

— O, z wielu powodów. Przede wszystkim, chociaż ujrysz tam masę białych, nie zrozumiesz ani jednego z nich i z tego powodu w żaden sposób nie zaspokoisz swej chęci rozmowy. Bardzo mi się podobają twarze Rosjan, Niemców

albo Włochów — nawet na Francuza lubię popatrzeć, zresztą tylko w tym wypadku, gdy uda mi się zastać go niezajętego czymś nieprzyzwoitym. Jednak nie wystarczy patrzeć, człowiek potrzebuje rozmowy.

— Ale przecież jest i Anglia, Sandy, angielski rejon nieba.

— Tak, ale ten nie jest o wiele lepszy od naszego. Dopóki znajdujesz się pośród Anglików zmarłych w ciągu ostatnich trzystu lat, czujesz się doskonale. Ale gdy tylko przeprowadzisz się do tej części rejonu, w której mieszkają poddani poprzedników Elżbiety, język ich zaraz zaczyna stawać się niezrozumiały. Rozmawiałem z niejakim Langlandem i Chaucerem — to dwaj starożytni poeci — ale nasza rozmowa na nic się nie przydała, bo ja ich kiepsko rozumiałem, oni mnie tak samo. Otrzymywałem później listy od nich, lecz były one pisane tak łamaną angielszczyzną, że nic nie mogłem pojąć. Angielscy przodkowie tych dwóch poetów to po prostu cudzoziemcy. Mówią po duńsku, po niemiecku, po normandzku, po francusku, a niekiedy zlepkiem tych czterech języków. Przodkowie zaś tych przodków mówią po łacinie, po staroangielsku, po irlandzku, po gaelicku. Ludzie jeszcze dawniejszego pochodzenia, prawdziwe dzikusy, tak łamią swój język, że sam diabeł ich nie zrozumie. W tym sęk, że zanim znajdziesz w regionie angielskim człowieka, którego będziesz rozumiał, natkniesz się na całe masy takich, których szwargot trudno uznać za ludzką mowę. To skundlenie języków musiało nastąpić dlatego, że każdy kraj na ziemi w ciągu miliardów lat nazbyt często był zamieszkiwany przez coraz to inne ludy.

— Sandy — zapytałem — a czy wielu widziałeś wielkich ludzi, o których mówi historia?

— Tak, sporo. Widziałem królów i wszelkiego rodzaju wybitne osobistości.

— I królowie zachowują tutaj swoją ziemską rangę?

— Nie, ciało śmiertelnika traci tu swą rangę. Ich boskie pochodzenie wystarczy na ziemi, tutaj jednak na nic się nie przyda. Królowie po przybyciu na niebiańskie równiny natychmiast są wliczani pomiędzy zwykłe anioły. Znałem bardzo dobrze Karolą II. To jeden z najlepszych komików rejonu angielskiego, pierwszorzędny aktor. Są tam i lepsi komicy, których nazwisk na ziemi nigdy nie słyszano, ale Karol zdobył sobie świetną opinię. Jest uważany za wschodzącą gwiazdę. Ryszard Lwie Serce został zawodowym bokserem i rokuje wielkie nadzieje. Henryk VIII jest tragikiem, doskonale wypada w scenach zabójstwa. Henryk VI wybija się jako kaznodzieja.

— A widziałeś Napoleona?

— O, często, to w korsykańskiej, to we francuskiej sekcji. Zawsze wybiera sobie odosobnione miejsce i chodzi tam ze ściągniętymi brwiami, skrzyżowanymi na piersiach rękoma, z lunetą pod pachą. Wygląda tak samo majestatycznie, ponuro i genialnie, jak go zwykle opisują. Bardzo go gniewa, że jako żołnierz nie jest tu postawiony tak wysoko, jak się spodziewał.

— Jak to? A któż jest wyżej od niego postawiony?

— O, mnóstwo ludzi, o których nigdy nie słyszeliśmy. Ludzie tacy jak na przykład szewcy, weterynarze, szlifierze, którzy być może nie trzymali nigdy szabli w ręku i nie oddali ani jednego strzału w życiu, ale którzy mieli ducha żołnierskiego, mimo że nie nadarzyła im się okazja okazania go, tutaj zajmują należne im miejsce, a Aleksander, Cezar i Napoleon muszą zadowolić się miejscami w drugim rzędzie. Największym geniuszem wojennym naszego świata okazał się kamieniarz z pewnej wioski w pobliżu Bostonu (umarł w czasie rewolucji). Nazywał się Absalom Jones. Ludzie tłumnie chodzą za nim. Teraz, widzisz, każdy rozumie, że gdyby

Jonesowi nadarzyła się okazja, byłby wielkim generałem, przy którym inni okazaliby się ołowianymi żołnierzami. Ale taka sposobność mu się nie trafiła. Kilka razy próbował zaciągnąć się do wojska, ale sierżant werbunkowy nie chciał go przyjąć — nie miał wielkich palców u rąk i brak mu było przednich zębów. Tak czy owak, każdy widzi teraz, czym Jones by został, gdyby okoliczności ułożyły się inaczej. I dlatego milionowe tłumy przychodzą wszędzie tam, gdzie on ma się pojawić, aby chociaż na niego popatrzeć. W jego sztabie znajdują się Cezar, Hannibal, Aleksander i Napoleon, jak również wielu świetnych generałów, ale w jego obecności mało kto zwraca na nich uwagę. Bum! Oto nowa salwa honorowa. Karczmarz zakończył kwarantannę.

Ubraliśmy się. Potem wyraziliśmy życzenie i natychmiast znaleźliśmy się na miejscu przyjęcia. Staliśmy na brzegu niezmiernego oceanu przestworzy i, kierując wzrok warstwę szarej mgły, ujrzeliśmy amfiteatr: szeregi tronów wznoszących się ku zenitowi. Po obu ich stronach mieściły się trybuny dla zwykłej publiczności. Trybuny te ciągnęły się na miliony mil, nie było widać ich końca. Były puste i wyglądały ponuro, jak pusty teatr przed zapaleniem świateł. Sandy powiedział:

— Usiadzimy tutaj i poczekamy. Wkrótce zobaczymy czoło pochodu.

— Jak tu pusto, Sandy. Nikogo oprócz nas dwóch, żeby tylko nowo nawrócony nie czuł się tym dotknięty.

— Bądź spokojny, wszystko będzie w porządku. Jeszcze jedna salwa, a potem wszystko zobaczysz.

Niebawem spostrzeżliśmy daleko na horyzoncie jakieś przyćmione światelka.

— To czoło procesji z pochodniami — zauważył Sandy.

Światło zaczęło się rozszerzać, wzmacniać i wkrótce zamieniło się jasny snop, podobny do światła lokomotywy. Było coraz mocniejsze i jaskrawsze, niczym słońce nad linią morskiego horyzontu, wysyłające czerwone promienie w niebo.

— Spójrz na Wielki Amfiteatr i na miliony miejsc na trybunach. Wyteż wzrok! — polecił Sandy. — I posłuchaj salwy.

W tej samej chwili straszny huk wstrząsnął niebem. Było to coś jak grzmot miliona piorunów. Potem zalało nas oślepiające światło i natychmiast wszystkie miejsca co do jednego zostały zajęte przez widzów. Wrażenie było wstrząsające. Sandy pierwszy na nowo podjął rozmowę:

— Tak się to u nas robi! Bez straty czasu, bez spóźniania się na początek seansu. Życzenie zawsze jest szybsze od podróży. Ćwierć sekundy temu każdy z tych widzów znajdował się o miliony mil stąd. Gdy rozległ się ostatni sygnał, wystarczyło im wyrazić w myśli życzenie, by natychmiast znaleźć się tutaj.

W tejże chwili rozległ się śpiew olbrzymiego chóru:

*Pragniemy usłyszeć twój głos
I ujrzeć cię twarzą w twarz.*

Szlachetną muzykę psuły ją niektóre niewyuczone glosy, jak to się zdarza i na ziemi podczas śpiewów w kościele.

Czoło pochodu zaczęło przeciągać koło nas. Było to podziwu godne widowisko. Mijał nas zwarty tłum pół miliona śpiewających aniołów, idących miarowym krokiem z zapalonymi pochodniami w rękach. Szelest ich skrzydeł przyprawiał o ból głowy. Procesja ta ciągnęła się daleko po niebie i koniec jej rozplątywał się we mgle. Szeregi aniołów ciągnęły nieprzerwanie; całe chmary ich przedefilowały

przed Amfiteatrem. Wreszcie ukazał się i nowo nawrócony. Wszyscy widzowie powstali z miejsc, witając go miliardami głosów. Niesamowite! Cały w uśmiechach, z zawadiacko przekrzywioną aureolą, był najbardziej zadowolonym z siebie świętym, jakiego widziałem. Kiedy chodził po stopniach Amfiteatru, chór gromko śpiewał:

Całe niebo opiewa twą chwałę
I czeka, by usłyszeć twój głos.

W centrum Amfiteatru na honorowym miejscu, ogrodzonym barierami, stały cztery ogromne namioty, otoczone wartą honorową w połyskujących szatach. Namioty były na razie zamknięte. Gdy karczmarz zaczął wchodzić po stopniach, kłaniając się i uśmiechając na wszystkie strony, namioty te nagle się otwarły i zobaczyliśmy w nich cztery wspaniałe złote trony. Na dwóch środkowych siedzieli dwaj siwi starcy, a na dwóch bocznych — dwaj piękni archaniołowie w błyszczących zbrojach i ze złotymi aureolami na głowach. Widzowie uklękli i przez ich szeregi popłynęła fala radosnego szmeru.

— Dwaj archaniołowie! To wspaniałe! Ale kim są tamci dwaj? — dało się słyszeć w szeregach.

Archaniołowie oddali nowo przybyłemu krótki ukłon wojskowy, a obaj starcy powstali i jeden z nich rzekł: „Witają cię Mojżesz i Izajasz!” Po czym wszyscy czterej zniknęli, a trony pozostały puste.

Karczmarz wyglądał na lekko rozczarowanego. Nowo przybyły miał minę trochę rozczarowaną; widocznie liczył na to, ale tłum był niepomiernie uradowany, jako że zobaczył Mojżesza i Izajasza. Wszyscy powtarzali bez ustanku : „Widzieliście? Ja doskonale widziałem – Izajasza z profilu, ale Mojżesza twarzą w twarz, tak jak was teraz widzę!”

Procesja ruszyła dalej, pociągając za sobą nowo przybyłego. Tłum rozpadł się na grupy i rozpierzchł. się rozszedł. Po drodze do domu Sandy mówił, że przyjęcie było wielkim sukcesem, a karczmarz ma prawo do dumy po wsze czasy. Dodał, że i my mieliśmy szczęście, bowiem mogliśmy przeżyć czterdzieści tysięcy lat i nie trafić okazję ujrzenia tak wielkich postaci jak Mojżesz i Izajasz. Dowiedzieliśmy się potem, że omal nie zobaczyliśmy wtedy jeszcze jednego patriarchy i jednego proroka, lecz ci niestety w ostatnim momencie zawiadomili, że ni omega przybyć. Sandy powiedział, że w miejscu, gdzie stali Mojżesz i Izajasz powstanie pomnik z datą i opisem wydarzenia, a podróżnicy przez tysiące lat będą go podziwiać, wspinać się na postument i wykrobywać swoje imiona.

Mark Twain
Wizyta kapitana Stormfieldda w niebie

Tytuł oryginału:
Captain Stormfield's Visit to Heaven

Redakcja:
Hanna Milewska

Projekt okładki:
Marta Sumińska
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-251-7

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl